MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 48 WARSZAWA, 21 LISTOPADA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZASADY WYCHOWANIA BIUROKRACJI

POLSKA ma biurokrację przeważnie złą. Przejęliśmy ją częściowo po zaborcach. Pod względem zawodowym nie była ona najgorszą, naturalnie jednak, zwłaszcza w b. zaborze rosyjskim, stała nisko. Polska nie miała, poza Małopolską, gotowego materiału dla wypełnienia kadr i luk w administracji, w sądownictwie i w szkolnictwie. Nic dziwnego więc, że w latach 1917 — 1922 przyjmowano niemal każdego, który się zgłosił. Gospodarka wojenna i powojenna, typowo etatystyczna, wymagała wielu ludzi i wielu urzędów. Rozbudowaliśmy więc administrację państwa ponad miarę i potrzebę normalną. Przyznaliśmy ponadto odrazu prawa urzędników stałych wszystkim, przyjętym choćby bez żadnych kwalifikacyj. Dziś już nie można praw tych odebrać. Ludzie raz przyjęci, stracili inne środki do życia. Każda więc reforma obciąży skarb państwa na odcinku emerytur i odszkodowań, stąd obowiązek ostrożności w reformach naszej administracji. Tylko powoli można błędy usuwać i wady leczyć.

Biurokracja nasza uczyła się i umie dotąd niesłychanie mało. B. minister skarbu dr. Jerzy Michalski cytował w swych publikacjach parokrotnie procenty wykształcenia szkolnego w administracji skarbowej: okazuje się, że nawet w Ministerstwie Skarbu i w Izbach skarbowych ludzie z wyższym wykształceniem stanowią zaledwie kilkanaście procent. Nie ma zaś biurokracji gorszej od — głupiej. A że pracowników jest i dużo i źle są płatni, więc w rezultacie nie wszyscy są odpowiedni i co gorsza, nie wszyscy są — sumienni.

Wiele zarzutów ściągają przeciw sobie szczyty naszej biurokracji. Za wiele wśród nich jest dzieci szczęścia. Musi razić każdego n. p. sędzia w roli ministra skarbu, profesor archeologii w roli ministra reform rolnych, lekarz jako wojewoda, człowiek bez studjów uniwersyteckich jako kurator szkół, wojskowi zawodowi jako starostowie czy referenci personalni po urzędach i t. p.

Gen. Składkowski, jako minister spraw wewnętrznych, zabrał się do niesumiennych. Wyciągnął na wierzch i na oczach całego kraju zoperował n. p. wielu starostów jako zwykłych złodziei, zapełnił burmistrzami, wójtami i sołtysami więzienia, rzucił postrach na inne działy administracji publicznej i samorządowej. Zrobił arcyrozumnie. Nie zdobył się jednak na zasadniczą zmianę atmosfery, która z tych ludzi zrobiła lub robi przestępców i kryminalistów. System rządów pomajowych jest tu właściwym winowajcą. Polska dopiero dąży do wychowania, do stworzenia swojej biurokracji.

Czegóż potrzeba dla wychowania dobrych, uczciwych kadr administracji? Składa się na nie wiele czynników.

Potrzeba rozumnej organizacji władz i rozłożenia jasnego odpowiedzialności w urzędach.

Potrzeba kwalifikacyj dość wysokich dla personelu, przyjmowanego do służby publicznej, i to kwalifikacyj tak naukowej, jak i moralnej natury.

Potrzeba rzetelnego unormowania warunków pracy, płacy, awansu, stabilizacji w zawodzie i wreszcie — emerytury.

Nie wychowamy dobrego urzędnika, jeśli nie zabezpieczymy go przed samowolą przełożonych, jeśli w granicach dobra służby nie zapewnimy mu nietykalności, ciągłości pracy, awansu i stabilizacji w zawodzie, jeśli nie zaspokoimy jego ambicyj życiowych.

Pragmatyki służbowe pracowników państwowych wbrew utartej opinii — nie są zdobyczą tylko jednej strony: tychże pracowników. Urzędnik, który wstępuje do służby państwowej, który decyduje się oddać pracę życia swojego państwu, musi mieć warunki dla uczciwej pracy. Tylko pewność, że nikt go nie pozbawi owoców pracy, chleba, awansu, emerytury, czci — pragmatyk zagwarantowanych, a niezależnych, sądów dyscyplinarnych, — dać może dobry personel dla administracji państwa.

Mówią nam: Polska pomajowa uznaje pragmatyki służbowe, ba, uznaje nawet polityczne związki zawodowe pracownicze. Jest to jednak

tylko pozbawiony treści frazes. W każdej pragmatyce znalazł się po maju 1926 jakiś artykuł, który wystarczył do zachwiania całym pragmatycznym dorobkiem państwa i administracji. Posługując się niewinnym, pozornie uzasadnionym, argumentem, iż wyjątkowo można przenieść lub zwolnić pracownika dla dobra szkoły, służby, urzędu, w czasie reorganizacji zakładu, wskutek złego stanu zdrowia, sanacyjne rządy zwolniły przedwcześnie do 100 tysięcy oficerów, sędziów, nauczycieli, urzędników, pracowników przedsiębiorstw, narzucając reszcie posłuch dla *regime'u*, często, bardzo często kosztem litery prawa i pożytku społecznego. Taka metoda „rugów" musiała zamącić spokojną, uczciwą pracę administracji. Miejsca usuniętych zajęli inni, ogólnie biorąc, gorzej przygotowani do zawodu.

Ambicją zdolniejszych urzędników, sędziów, nauczycieli jest postęp w górę po szczeblach w karierze zawodowej, jest awans na kierownicze stanowiska. Zaglądnijny gdziekolwiek, do urzędów, do szkół, nawet do sądów, wszędzie tam zobaczymy stanowiska kierownicze zajęte przez ludzi może bardzo zdolnych, może najgodniejszych zaufania, ale niekwalifikowanych. Czy mam wyliczać wśród nich n. p. wojskowych? Zabieranie „najsmaczniejszych kęsów" przez „ludzi z ulicy" musi budzić zazdrość, i zniechęcenie u pominiętych.

Nie mniejszą rolę w dezorganizowaniu aparatu państwowego grają awanse — wstecz. Znamy i z dni ostatnich wypadki, iż wicewojewoda lub naczelnik wydziału w województwie poszedł na starostę do małego miasteczka, iż wizytator lub naczelnik kuratoryjny objął stanowisko dyrektora lub nauczyciela szkoły średniej, iż inspektor szkolny został nauczycielem. Są to degradacje, dokonywane przez władze bez żadnych dochodzeń dyscyplinarnych, bez udowodnionej winy.

Niedawno zarząd główny T. N. S. W. domagał się od ministra oświaty cofnięcia kilkuset nauczycieli szkół średnich, przydzielonych z urzędu do szkół powszechnych, z powrotem do szkół średnich, sam znam wypadek, iż nauczyciel gimnazjum przez lat 14 i dyrektor gimnazjum przez drugie lat 14 — a więc po 28 latach pracy w gimnazjum został nagle przydzielony do szkoły powszechnej jako nauczyciel klas niższych. Los b. posła Korneckiego, zepchniętego z inspektora na nauczyciela, jest ogólnie znanym. Wyrazem brutalnego poglądu, iż z podwładnymi wszystko robić wolno, iż niema praw nabytych, był dekret rządu J. Jędrzejewicza, wstrzymujący awanse, a nawet cofający ogół pracowników do rang niższych. Był to gwałt nie tylko na bezpośrednio dotkniętych pracownikach. Pogwałcona została sama zasada stosunku państwa jako pracodawcy, do swoich urzędników. Był to akt ze wszech miar szkodliwy. Do tej samej kategorii zaliczam „reformę emerytalną" min. Kwiatkowskiego.

Utarł się już pogląd, iż „państwu wszystko wolno". Wolno przez lat szereg nie wypłacić zaległych dodatków mieszkaniowych. Wolno latami całymi nie płacić lekarzom, leczącym pracowników państwowych lub dostawcom szutru na drogi. Wolno zwlekać długie miesiące (nawet lata) z obliczeniem i przyznaniem emerytury. Wolno wywrzeć nacisk na sumienie lekarzy by uznali najzdrowszego chorym i niezdolnym do służby. Utarło się przekonanie, że ministrowi i jego pełnomocnikom wolno mianować, kogo chce i wolno zwolnić kogo chce. „Państwo i jego dobro — to ja".

Nie ma nic szkodliwszego nad tę teorię i wynikającą z niej rzeczywistość. Skutki jej obserwujemy na każdym kroku. Oto przykład z tygodni ostatnich: Sąd Najwyższy na wniosek Sądu okręgowego w Warszawie przenosi sprawę karną miejscowych spółdzielców do Krakowa i motywuje tę decyzję — naciskiem starosty na sąd miejscowy. Piszą o tym wszystkiem w gazetach. Zdaniem naszym decyzja Sądu Najwyższego winna być podaną do wiadomości ministra spraw wewnętrznych. Starosta, wywierający nacisk na sąd, winien odczuć konsekwencje tego faktu na sobie. Nie jest to fakt zresztą odosobniony.

I jeszcze jeden objaw dezorganizacji, szerzonej z góry: ministrowie zbyt często robią to, co robić powinni ich podwładni. Ot, i w dniach ostatnich czytaliśmy, iż minister oświaty zjawił się w Kielcach i o godzinie 8 rano urzędował w drzwiach tamtejszego inspektoratu szkolnego, obliczając z zegarkiem w ręku opóźnienia personelu. Czytając ten opis, nie pierwszy i nie ostatni, próbowałem obliczyć wartość straconych minut paru sił kancelaryjnych w inspektoracie w Kielcach z wartością zużytych na tę kontrolę minut (bogdaj tam minut) pana ministra Świętosławskiego. Nie razi mnie sam fakt kontroli. Twierdzę tylko, że tym kontrolerem w inspektoracie nie powinien być minister. Jedno z dwojga: albo minister ma zaufanie do swoich współpracowników na kierujących stanowiskach, a w takim razie bezpośrednia kontrola do nich należy, albo zaufania nie ma, a w takim razie niech zmieni naczelników urzędu. Nawiasem dodać trzeba, iż do kontroli inspektoratów szkolnych powołani są kuratorzy i wizytatorzy kuratoryjni, a w myśl okólnika p. prem. Składkowskiego w sprawach porządkowych i polityczni naczelnicy miejscowych urzędów; do kontroli starostw obowiązani są specjalni inspektorzy starostw (i centrali w Ministerstwie i z województw), wojewodowie i naczelnicy wydziałów wojewódzkich. Prócz tych kontroli służbowych pracują stale Najwyższa i okręgowe Izby Kontroli.

Rozumiem wypadki wyjątkowe. Zbyt częste jednak inspekcje czysto porządkowe ministrów, dyrektorów izb skarbowych, wojewodów, kuratorów, które normalnie należą do bezpośrednich naczelników urzędów, są może sensacją dla tłumu, a postrachem dla pracowników, ale korzyści większych państwu one nie dają. Przeciwnie obniżają i tak nie wielką powagę kierowników urzędów, a zabierają zbyt wiele cennego czasu ministrom, wojewodom itp.

Hierarchia w administracji państwa ma swoje wielkie konsolidacyjne znaczenie. Trzeba szanować powagę urzędu. Szanować ją muszą tak zwykli obywatele, jak i ci, którzy te urzędy sprawują.

Nie łatwe zadanie ma Polska do spełnienia: zamienić biurokrację obecną, całkowicie zdezorganizowaną, na biurokrację, dobrze do zawodu przygotowaną i dobrze pracującą, to praca dla całego pokolenia. Kiedyś pracę tę zacząć trzeba.

STANISŁAW RYMAR

POLSKI CZYN ZBROJNY

W CZASIE WOJNY ŚWIATOWEJ (Ciąg dalszy)

W ODPOWIEDZI na napady band bolszewickich gen. Dowbor Muśnicki wysłał 24 stycznia 1918 r. ostre „*ultimatum*” do naczelnego wodza Krylenki. Krylenko uznał „*ultimatum*” za wypowiedzenie wojny i ogłosił generała Dowbora Muśnickiego „wrogiem rewolucji”. Dalszą konsekwencją owego nieopatrznego „*ultimatum*” był rozkaz Krylenki, wstrzymujący dostawę żywności i pieniędzy ze skarbu rosyjskiego dla I Korpusu Polskiego.

Wśród walk z bolszewikami generał Dowbor Muśnicki przeprowadził w ciągu stycznia koncentrację korpusu w rejonie Bobrujska. Dnia 3 lutego 1918 r. wojska polskie zajęły twierdzę Bobrujsk.

Dnia 4 lutego 1918 r. Naczelna Rada Polskiej Siły Zbrojnej [1]) mianowała gen. Dowbor-Muśnickiego dowódcą całej polskiej siły zbrojnej w Rosji. W skład polskiej siły zbrojnej wchodziły oprócz I Korpusu Polskiego jeszcze dwa tak zwane „korpusy”, o których później będzie mowa.

Ze względu na niebezpieczeństwo, grożące ze strony Niemców, przed którymi Rosja stanęła otworem z powodu rozstroju armii rosyjskiej, należało zjednoczyć wszystkie polskie oddziały wojskowe, a następnie — w razie dalszego pochodu wojsk niemieckich na wschód—przejść za Dniepr. Tylko w ten sposób można było uratować polskie wojsko od zagłady.

Niestety, stała się rzecz, która musi smutkiem przejąć każdego Polaka. Wbrew stanowisku całego polskiego narodu gen. Dowbor Muśnicki na własną rękę wszedł w porozumienie z Niemcami, a nawet oddał im w czasie ofensywy znaczne usługi [2]).

Dn. 26 lutego 1918 r. gen. Dowbor-Muśnicki podpisał w Bobrujsku umowę z pełnomocnikiem „*Ober-Ostu*” majorem Wulffenem. W myśl umowy I-y Korpus Polski uznany został za „neutralny”, t. zn. nie wolno mu było walczyć przeciw Niemcom. W razie napadu ze strony Rosjan korpus miał podlegać niemieckiej komendzie, jeśliby niemieckie wojska brały udział w odparciu napadu. Umowa nakładała na korpus obowiązek współdziałania z wojskami niemieckimi w okupowaniu kraju [3]).

Gen. Dowbor Muśnicki wysłał w marcu do Warszawy delegację, która (4 marca) poddała korpus pod rozkazy Rady Regencyjnej. Rada Regencyjna wcieliła korpus do „*Polnische Wehrmacht*” i oddała go pod rozkazy generał-gubernatora Beselera jako „głównego dowódcy polskiej siły zbrojnej” (!)[4]) Z tą chwilą dalsze losy korpusu nie należą do historii polskiego czynu zbrojnego.

Gen. Beseler jako „główny dowódca polskiej siły zbrojnej” zarządził... demobilizację korpusu. Dnia 21 maja 1918 r. gen. Karnicki podpisał z polecenia gen. Dowbora Muśnickiego upokarzającą umowę z niemieckim dowództwem. Według umowy korpus został podporządkowany bezwarunkowo rozkazom „*Ober-Ost*“ i oddany pod komendę 10 armii niemieckiej; zaraz ma się rozpocząć „rozformowanie”; cały materiał wojenny ma być oddany armii niemieckiej.

Niemcy, których zapasy broni były już na wyczerpaniu, uzyskali w ten sposób bardzo bogaty materiał wojenny I Korpusu Polskiego i olbrzymie zapasy broni, zdobyte na bolszewikach, zwłaszcza w twierdzy bobrujskiej. Niemcy użyli następnie tego materiału przeciw armii polskiej, walczącej na zachodnim froncie o niepodległość Polski.

5. DRUGI KORPUS POLSKI [5])

Drugi Korpus Polski zaczęto tworzyć z końcem listopada 1917 r. na Bukowinie. Dnia 24 listopada odbył się w Suczawie zjazd wojskowych Polaków 9 armii, na którym uchwalono wydzielenie Polaków z rosyjskiej armii, walczącej na froncie rumuńsko-austriackim i utworzenie II Korpusu Polskiego. Utworzono w Suczawie dywizję piechoty, która stała się zawiązkiem II Korpusu Polskiego.

Na zjeździe wojskowych Polaków w Kiszyniewie (2 grudnia 1917 r.) wybrano Komitet Wykonawczy Związku Wojskowych Polaków Frontu Rumuńskiego, który przystąpił do tworzenia korpusu.

Przychylny dla Polaków dowódca frontu południowo-zachodniego generał Szczerbaczew przemianował stojący w rejonie Sorok (w Besarabii) XXIX korpus rosyjski na II Korpus Polski i zezwolił Polakom przenieść się z oddziałów rosyjskich do polskiego korpusu.

W styczniu 1918 r. Soroki stają się miejscem

---

[1]) Naczelny Polski Komitet Wojskowy przekształcił się 30 stycznia 1918 r. w Radę Naczelną Polskiej Siły Zbrojnej. W skład Rady wchodzili: b. prezes Naczpolu Władysław Raczkiewicz, gen. Michaelis, podpułk. Tupalski, podpułk. Żeligowski, podporucznik Jakowicki i Jamontt. Rada Naczelna Polskiej Siły Zbrojnej działała z początku w porozumieniu z Radą Polską Zjednoczenia Międzypartyjnego, wybraną na zjeździe, który odbył się w Moskwie w dn. 3—9 sierpnia 1917 r.

[2]) Poraj-Biernacki, „XXV dokumentów do dziejów I-go korpusu polskiego wschodniego“, str. 34; Dowbor-Muśnicki, „Krótki szkic do historii I-go Polskiego Korpusu”, cz. III, str. 79.

[3]) Bagiński, str. 274 i n.

[4]) Dowbor-Muśnicki, „Krótki szkic...” część III str. 63.

[5]) Bagiński, „Wojsko polskie na wschodzie”; Rajmund Bergel, „Dzieje II Korpusu Polskiego”, Warszawa 1921; Eugeniusz de Henning Michaelis, „Burza dziejowa. Pamiętnik z wojny światowej (1914—1917), Warszawa 1928; tenże, „W zamęcie” („Burzy dziejowej” część trzecia). Przyczynek do historii formacji polskich w Rosji 1917—1918”, Warszawa 1929; Zdzisław Oplustil, „Polskie formacje wschodnie” Warszawa 1922; Seyda, „Polska na przełomie dziejów”, t. II, str. 459 i nast.; Tadeusz Hołówko, „Przez dwa fronty. Ze wspomnień emisariusza politycznego z 1918 r.”, Warszawa 1931; „Rarańcza. Zbiór opracowań w 15-lecie czynu zbrojnego”, Warszawa 1933; „Za kratami więzień i drutami obozów. (Wspomnienia i notatki więźniów ideowych z lat 1914—1921)”, t. II, Warszawa 1928; str. 410 i nast.; Izydor Modelski, „Józef Haller w walce o Polskę niepodległą i zjednoczoną”, Toruń 1936; „Krótki zarys dziejów polskich formacyj na wschodzie”, Warszawa 1918; Bronisław Nakonieczników-Klukowski, „Rys dziejów II Korpusu“, „Polska“ 1922 nr. 123—125; Lipiński, „Walka zbrojna o niepodległość Polski“, str. 316 i nast.

koncentracji korpusu. Dowódcą korpusu mianowany został generał Stankiewicz. W skład korpusu wchodziły dwie dywizje strzelców, dwa pułki ułanów, brygada artylerii i pułk inżynieryjny.

Dnia 6 marca 1918 r. połączyła się z II Korpusem Polskim druga brygada, walcząca dotychczas po stronie mocarstw centralnych. Przekonawszy się jednak po pokoju brzeskim o dwulicowej grze Austrii i Niemiec w stosunku do Polaków, druga brygada stacza bitwę z Austriakami pod Rarańczą i przebija się 16 lutego 1918 r. przez front austriacki, aby połączyć się z polskim wojskiem, walczącym po stronie koalicji przeciw mocarstwom centralnym. Plan przebicia się udał się tylko częściowo; zdołało się przebić zaledwie 1.500 żołnierzy i 100 oficerów.

Po połączeniu się z drugą brygadą II Korpus Polski liczył 6,500 ludzi.

Dalszy pobyt korpusu w Sorokach stał się niemożliwy, ponieważ pobita Rumunia zawarła pokój z państwami centralnymi, zobowiązując się do rozbrojenia wszystkich obcych formacji wojskowych, znajdujących się na jej terenie. Wobec tego korpus musiał opuścić Soroki i rozpoczął 8 marca 1918 r. marsz na wschód.

Generał Stankiewicz, który był przeciwny marszowi na wschód, złożył dowództwo i wyjechał do Kijowa. Dnia 24 marca 1918 r. dowództwo II Korpusu Polskiego objął brygadier Józef Haller.

Na rozkaz generała Osińskiego, dowódcy Wojsk Polskich na Ukrainie, korpus zatrzymał się pod Kaniowem (18 kwietnia 1918 r.). Rozkaz ten, wydany na żądanie Niemców, stał się przyczyną katastrofy. Niemcy zdołali ściągnąć pod Kaniów swoje oddziały i osaczyli korpus. Dnia 11 maja 1918 r. napadli na korpus z przeważającymi siłami. Wywiązała się zacięta walka, w czasie której Niemcy stracili około 1.500 zabitych i rannych. Wobec kilkakrotnej przewagi nieprzyjaciela korpus musiał broń złożyć. Składając broń żołnierze łamali karabiny.

Część oficerów i żołnierzy wraz z generałem Hallerem zdołała zbiec, aby po długiej tułaczce znów skupić się w polskich oddziałach, walczących w szeregach państw sprzymierzonych.

6. TRZECI KORPUS POLSKI [6])

Utworzenie trzeciego polskiego korpusu nie doszło do skutku. Agitacja lewicy przeciw wstępowaniu do polskiego wojska zrobiła swoje. Zmęczony przedłużającą się wojną i zarażony rewolucyjnymi hasłami żołnierz nie śpieszył do szeregów, stawiających sobie za cel dalszą walkę.

T. zw. „III Korpus Polski" były to właściwie drobne oddziały wojskowę, liczące łącznie około 2.000 ludzi, rozmieszczone po większych miastach i majątkach ziemskich na Ukrainie.

Pierwsze takie oddziały zaczęły się tworzyć samorzutnie w ostatnich dniach grudnia 1917 r. Dowódcą tworzącego się korpusu Naczelny Polski Komitet Wojskowy mianował (w grudniu) generała Michaelisa.

Celem nadania jednolitego kierunku akcji tworzenia polskiego wojska na Ukrainie Naczelny Polski Komitet Wojskowy utworzył 2 stycznia 1918 r. Naczelny Inspektorat Polskiej Siły Zbrojnej na Ukrainie i mianował naczelnym inspektorem generała Michaelisa.

Pomiędzy polskimi oddziałami a zbolszewizowaną ludnością dochodziło do częstych zatargów. Przyczyną tych zatargów było to, że — podobnie jak I Korpus Polski — także „III Korpus Polski" przeciwstawiał się zarządzeniom władz bolszewickich, dotyczącym wywłaszczenia wielkiej własności ziemskiej.

Mieszanie się do wewnętrznych spraw Rosji i używanie polskiego wojska do niewłaściwych celów, t. j. do obrony prywatnej własności polskich ziemian, stało się przyczyną jego zguby.

Rozgoryczeni chłopi ukraińscy rozpoczęli 10 kwietnia 1918 r. napadać na polskie oddziały i rozbrajać je.

Zupełnie nie w porę, gdy nad „III Korpusem Polskim" zawisły groźne chmury, nastąpiła dwukrotnie zmiana na stanowisku dowódcy. Dnia 7 kwietnia 1918 r. dowództwo objął generał Aleksander Osiński, który po kilku dniach urzędowania wyjechał do Kijowa. Po jego wyjeździe dowództwo korpusu objął 19 kwietnia pułkownik Rómmel.

Po zajęciu Ukrainy przez wojska niemieckie i austriackie los „III Korpusu Polskiego" został ostatecznie przesądzony. Na żądanie Austriaków wszystkie oddziały, wchodzące w skład „korpusu", przeszły do rejonu Pików — Janów — Chmielnik. W nocy z 9 na 10 czerwca 1918 r. wojska austriackie i węgierskie niespodziewanie otoczyły Pików i Uładówkę i zmusiły polskie oddziały do złożenia broni.

7. INNE POLSKIE ODDZIAŁY W ROSJI [7])

Rozbrojenie polskich korpusów w Rosji było wielkim ciosem dla sprawy polskiej. Wrogowie tryumfowali. Wschodni front przestał zupełnie istnieć. Niemcy mogli teraz przerzucić wszystkie swoje siły na front zachodni.

Jednakże wrogowie byli w błędzie przypuszczając, że likwidacja polskich korpusów położy kres polskiemu wysiłkowi zbrojnemu na wschodzie.

Rada Polska Zjednoczenia Międzypartyjnego nie zrażając się smutnym końcem trzech korpusów nie ustawała w pracy nad dalszym tworzeniem polskiej siły zbrojnej w Rosji. Komitet wykonawczy Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego odbył dnia 15 czerwca 1918 r. posiedzenie z udziałem generała Józefa Hallera, który w przebraniu

[6]) Bagiński, str. 378 i nast.; Lipiński, str. 345 i nast.; Michaelis, „Burza dziejowa"; tenże, „W zamęcie"; Hołówko, „Przez dwa fronty"; Wiktor Stokalski-Dzierżykraj, „Dzieje jednej partyzantki z lat 1917—1920", Lwów 1927; Zofia Kossak, „Pożoga", Warszawa 1935, str. 84 i nast.

[7]) Bagiński, str. 402 i nast.; Lipiński, str. 360 i nast.; Seyda, t. II, str. 462—465, 576—582; Jerzy Bandrowski, „Niezwalczone sztandary", Poznań 1923; Józef Kudela, „Czeskosłowackie i polskie wojsko w Rosji", Warszawa 1929; Jan Pindela-Emisarski, „Formacje wojska polskiego na Syberii", Warszawa 1920; J. P. E. „Wojsko Polskie na Syberii", „Tygodnik Illustrowany" r. 1920 nr. 20; Roman Dyboski, „Siedem lat w Rosji i na Syberii (1915—1921)", Warszawa 1922; Tadeusz Kawalec, „Historia 4 dywizji strzelców gen. Żeligowskiego w zarysie", Warszawa 1921; tenże „Szlakiem tułaczych zastępów", Wilno 1921; Jan Rogowski, „Dzieje wojska polskiego na Syberii, Warszawa 1928; „Żołnierz polski na Murmanie", Warszawa 1929; Józef Sierociński, „Armia polska we Francji", Warszawa 1929, str. 187 i nast.; A. Strończak, „Ideowe znaczenie V syberyjskiej dywizji", „Polska" 1922, nr. 159—161.

przybył do Moskwy. Utworzono Polską Komisję Wojskową z generałem Hallerem na czele.

Głównym zadaniem Polskiej Komisji Wojskowej było „niezwłoczne zorganizowanie mobilizacji i przewozu wojskowych Polaków”. Polska siła zbrojna miała wejść w skład wznowionego frontu wschodniego, a jeśliby do utworzenia tego frontu nie doszło (i tak w rzeczywistości było), miała być włączona do polskiej armii, utworzonej we Francji.

Polska Komisja Wojskowa zawarła z przedstawicielami koalicji w Moskwie umowę, na podstawie której tworzące się w Rosji polskie wojsko uznane zostało za część polskiej armii we Francji pod jednolitym dowództwem generała Hallera. Jako środki skupienia polskiego wojska wyznaczono Murman i Archangielsk.

Generał Haller wydał rozkazy mobilizacyjne, wzywające pod broń polskich żołnierzy do walki z Niemcami.

Na rozkaz wodza polscy żołnierze wśród wielkich trudności przedzierali się na północ. Rada Polska Zjednoczenia Międzypartyjnego usilnie pracowała nad utworzeniem wojska i udzielała ochotnikom wszelkiej pomocy, za co spotkały ją prześladowania ze strony bolszewików. Duże zasługi dla sprawy polskiego wojska położył szczególnie ks. Kazimierz Lutosławski. [8])

Pomimo wielkich wysiłków nie udało się utworzyć większych jednostek wojskowych, ponieważ bolszewicy na żądanie niemieckiego ambasadora hr. Mirbacha uniemożliwili dalsze wysyłanie polskich żołnierzy na Murman.

W czerwcu 1918 r, zdołano utworzyć w Koli na Murmanie tylko niewielki oddział polski, składający się z kompanii strzelców i Legii Oficerskiej, Z końcem października 1918 r. oddział przeniesiony został do Archangielska. Oddział w Archangielsku po połączeniu z oddziałem murmańskim liczył 1 sierpnia 1918 r. 243 ludzi.

*

Skoro okazało się, że dalsze wysiłki nad tworzeniem polskiego wojska na wschodzie są bezcelowe, generał Haller wyjechał 3 lipca 1918 r. do Francji zostawiając instrukcję, według której koncentracja wojskowych Polaków na Murmanie i w Archangielsku ma na celu przewiezienie ich do Francji i wcielenie ich do istniejącej tam polskiej armii.

Po wyjeździe generała Hallera Polska Komisja Wojskowa zawiesiła swą działalność; czynny był tylko Wydział Mobilizacyjny, mający również siedzibę w Moskwie. Wydział Mobilizacyjny uchwalił 9 sierpnia 1918 r. skierować akcję tworzenia polskich oddziałów wojskowych na Syberię, która była terenem działania wojska czechosłowackiego. Tymczasem zaś postanowiono skupiać byłych żołnierzy korpusów polskich przy armii ochotniczej generała Aleksiejewa nad rzeką Kubaniem na Kaukazie.

We wrześniu 1918 r. utworzony został w Stanicy Paszkowskiej oddział, liczący około 700 ludzi. W połowie października przybył do Ekaterynodaru [9]) generał Lucjan Żeligowski, który w zastępstwie generała Hallera objął naczelne dowództwo wojska polskiego na wschodzie. Generał Żeligowski przystąpił 23 października 1918 r. do tworzenia 4 Dywizji Strzelców Polskich, będącej częścią polskiej armii pod naczelnym do wództwem generała Hallera. Dnia 1 grudnia 1918 r. dywizja przeniesiona została do Odessy. Stan liczebny dywizji wynosił 24 stycznia 1919 r. 722 oficerów i 2.116 żołnierzy.

*

Trzecim obok wybrzeża Murmańskiego i obwodu Kubańskiego terenem organizowania się polskiego wojska na wschodzie była Syberia.

Polskie oddziały powstały przy armii czechosłowackiej, która dzięki wysokiemu uświadomieniu narodowemu i patriotyzmowi Czechosłowaków potrafiła się świetnie zorganizować w ciągu 1917 r. Wojsko czechosłowackie napadnięte przez bolszewików, którzy na rozkaz Berlina chcieli je rozbroić, utworzyło wspólnie z rosyjskimi oddziałami przeciwrewolucyjnymi front nad Wołgą i zajęło Syberię.

Pierwsze polskie oddziały, które stały się zawiązkiem Dywizji Syberyjskiej, powstały w Samarze, Omsku i Irkucku z początkiem lipca 1918 r. Na podstawie umowy, zawartej 23 lipca 1918 r. przez Polski Komitet Wojenny z Filią Czechosłowackiej Narodowej Rady polskie wojsko wchodziło w skład czechosłowackiej armii i podlegało czechosłowackiej naczelnej władzy wojskowej.

Po przyjeździe na Syberię naczelnego dowódcy wojsk sprzymierzonych na Syberii generała Janin [10]) polskie oddziały przeszły (1 stycznia 1919 r.) pod jego naczelne dowództwo. W marcu 1919 r. polskie oddziały przeniesione zostały do Nowo-Mikołajewska, gdzie utworzona została 5 Dywizja Strzelców Polskich, zwana Dywizją Syberyjską. Stan liczebny 5 Dywizji Strzelców Polskich wynosił 17 maja 1919 r. 11,282 ludzi.

Dywizja Syberyjska wchodziła razem z 4 Dywizją gen. Żeligowskiego w skład armii polskiej we Francji jako II korpus i podlegała Komitetowi Narodowemu Polskiemu w Paryżu, jako władzy politycznej [11]).

8. ODDZIAŁ BAJOŃCZYKÓW [12])

Pierwszym polskim oddziałem, który walczył na froncie zachodnim, był oddział „bajończyków”. Tak zwano ochotników polskich, którzy tworzyli drugą kompanię 1 pułku Legii Cudzoziemskiej. Polski oddział utworzony został w Paryżu 22 sierpnia 1914 r., a nazwę swą otrzymał od miasta Bayonne, gdzie znajdował się polski obóz ćwiczebny. Dnia 22 października 1914 r. kompania

---

[8]) Oplustil, str. 91.

[9]) Obecny Krasnodar.

[10]) Czyt. „żanę“.

[11]) Oplustil, str. 231.

[12]) Wacław Gąsiorowski (Wiesław Sclavus), „1910—1915 Historia Armii Polskiej we Francji“, Warszawa 1931; Jan Żyznowski, „Krwawy strzęp“, Warszawa 1927; Józef Sierociński, „Armia polska we Francji“ str. 37 i nast.; Lipiński, „Walka zbrojna o niepodległość Polski“, str. 407 i nast.; tenże, „Z dziejów dawnych i najnowszych“, Warszawa 1934 (rozdział „Dziennik bajończyka Mariana Himnera“); tenże, „Bajończycy i armia polska we Francji“, Warszawa 1929; Jerzy Kijewski, „Dwa dni na cmentarzu w Souchez. Wspomnienia z frontu francuskiego“, „Tygodnik Illustrowany“, 1919 nr. 47—50 i 52.

licząca około 200 bagnetów wyruszyła na front nad rzeką Aisne'ą.

W krwawych walkach bajończycy dawali dowody bohaterstwa i dzielności, wzbudzając podziw u swych dowódców. Do najpiękniejszych kart w historii oddziału bajończyków należą bitwy pod Carençy (9 maja 1915 r.) i pod Notre-Dame-de-Lorette (16 czerwca 1915 r.)

Żołnierz polski rwał się do walki z odwiecznym wrogiem narodu i z ochotą szedł do ataku na bagnety. Życia swego i krwi nie oszczędzał, czego najlepszym dowodem jest to, że po kilkumiesięcznym pobycie w okopach z całej kompanii zostało tylko trzydziestu żołnierzy.

W lipcu 1915 r. wycofano zdziesiątkowany oddział bajończyków z frontu. Część bajończyków przeniosła się do armii francuskiej, część wyjechała do Rosji.

(D. n.) TADEUSZ MILDNER

PAŃSTWO ŚW. JERZEGO

DOWIEDZIELIŚMY się w ostatnich dniach o niepokojach w Rosji Sowieckiej. Między innemi pisano także o „ojczyźnie" Stalina, dyktatora Z.S.R.R. — Grużji. Pierwsze wyjaśnienie — Stalin nie ma prawa nazywać się Gruzinem bo jest nazwyklejszym renegatem. Tak samo nie wolno mówić o Komunistycznej partii gruzińskiej, która jakoby wysłała hołdowniczy list do Stalina (1936 r.). Gruzińskiej Partii Komunistycznej nie ma! To, co się określa jako wspomnianą partię, składa się z renegatów, a wreszcie z żydów i rosjan. Gruzini są bezwzględnymi wrogami bolszewizmu.

Powiedziano, że nasz XX wiek — to wiek sprawiedliwości dziejowei. Czy naprawdę? Czy sprawiedliwością było uznanie Sowietów przez Ligę Narodów i przyjęcie w poczet swego grona, czy też zapraszania na wszystkie konferencje „pokojowe"?!

Dumne mocarstwa zachodnie zaprosiły do swego grona Sowiety do pracy nad „pokojem powszechnym", nad utrzymaniem „sprawiedliwości" w stosunkach międzynarodowych!

A tymczasem prześladowania religijne trwają, tak jak trwały; narody o wysokiej nieraz kulturze, jak Gruzini, jęczą pod knutem i karabinem krasnoarmiejców.

Straszny, upokarzający policzek otrzymała Europa.

Rok 1921. W Gruzji wielka radość, bo oto nadeszła wiadomość, że Zachodnia Europa uznała *de jure* rząd, a tem samem państwo Gruzińskie.

„Mocarstwa zaprzyjaźnione są szczęśliwe, świadcząc (przez to uznanie) sympatię, z jaką śledziły wysiłki, czynione przez Gruzję dla zapewnienia podwalin niepodległości i jednocześnie wyrażają podziw i zachwyt nad pracą, która już została dokonana". Temi słowy zawiadomił Briand rząd gruziński o decyzji aliantów.

Gruzja wysłała swoich posłów. Z Rosją Sowiecką zawarła już dawniej uroczysty traktat o nieagresji, podpisany 7 maja 1920 r. Oto jego najważniejsze punkty:

„I. Opierając się na proklamowaniu przez Z.S.R.R. prawie wszystkich narodów do wyłącznego i całkowitego rozporządzania swym losem, aż do zupełnego odłączenia, Rosja uznaje bez zastrzeżeń niepodległość i suwerenność państwa Gruzińskiego i dobrowolnie zrzeka się wszystkich praw zwierzchniczych, które należały do Rosii, względem narodu i państwa Gruzińskiego.

II. Opierając się na zasadach proklamowanych w art. poprzednim, Rosja wyrzeka się wszystkich interwencji w sprawach wewnętrznych Gruzji.

III. Rosja zobowiązuje się nie dopuścić na swojem terytorium do obecności i działalności grupy, lub organizacji pretendującej do roli rządu gruzińskiego, albo też do jakiejkolwiek części terytorium, a także nie dopuścić do istnienia grupy, czy organizacji, mającej na celu obalenie rządu gruzińskiego".

Najpiękniejsze hymny na cześć Gruzji i jej niepodległości wygłaszał poseł sowiecki. Wilk w owczej skórze! — Tak, bo już 18 lutego 1921 r. przekroczyła czerwona armia, bez wypowiedzenia wojny, granice Gruzji. Wykręty przed Europą... a rownocześnie krasnoarmiejcy wkraczają (24 lutego) do Tyflisu — stolicy Gruzji. Komunikat oficjalny Z. S. R. R. głosił, że Komunistyczna Partia Gruzińska wywołała powstanie i zdobyła władzę. Ale... w 1920 r. Sowiety podpisały tajny układ z Turcją, w myśl uwag poczynionych przed dowódcę II armii. Pisał on tak do rady wojennej w Moskwie: „Jak wcześniej zaznaczyłem na zebraniu rady rew.-wojskowej II armii, wojenne operacje przeciwko Gruzji są możliwe tylko przy zachowaniu przez wojska tureckie przyjaznej neutralności... Uwagi, przezemnie poczynione nie mają na celu udowodnienia niemożliwości ataku na Gruzję; wywołane są tem, że według mego zdania, atak ten musi dopiero wtedy być przeprowadzony, kiedy zostaną obmyślone i dokonane drobiazgowo wszystkie szczegóły, aby można jak najszybciej i najłatwiej skończyć z ludźmi z Tyflisu...."

Turcja zgodziła się nie tylko na „przyjazną neutralność", ale za cenę trzech prowincji gruzińskich przyrzekła wystąpić zbrojnie przeciwko Gruzji.

Oto poufny memoriał z 6 grudnia 1921 r. gruzińskiej partii komunistycznej, która wówczas jeszcze istniała: „Kiedy rozpoczęła się ofenzywa czerwonej armii na Gruzję, żadna komunistyczna jaczejka, żaden członek partii nie wiedział jak i dlaczego ta ofenzywa została rozpoczęta. Było to faktem zupełnie niespodziewanym. Wystąpienie czerwonej armii i proklamowanie systemu sowieckiego miało charakter zawojowania, bo w tym czasie nie było żadnej myśli co do jakiejkolwiej agitacji, czy propagandy dla wywołania powstania w Gruzji".

Jeden z działaczy ówczesnej gruzińskiej partii komunistycznej, Lominadze pisze: „Nasza rewolucja z r. 1921 zaczęła się zawojowaniem Gruzji za pośrednictwem bagnetów czerwonej armii, którą Gruzini muszą uważać za siłę zewnętrzną —

cudzoziemską. „Rewolucja” ta sama, przedstawia się jako okupacja Gruzji przez wojska rosyjskie”.

Uznał te fakty przedstawiciel Kominternu Radek, na kongresie trzeciej międzynarodówki w Berlinie 1922 r.: „Walki nie rozpoczęli robotnicy i włościanie gruzińscy, lecz armia rosyjska...” Z. S. R. R. chodziło o uznanie przez Anglję itd. Na opłacenie tego uznania trzeba było mieć do dyspozycji bogactwa naturalne — naftę, mangan, miedź itp., znajdujące się w obfitości na terytorium Gruzji!

Dzieło zawojowania Gruzji nie było trudne, bo armia gruzińska była zdemobilizowana. Kilkomilionowy naród wzięty we dwa ognie, mimo swego bohaterstwa musiał ulec przemocy. Ale nie na długo. Już w r. 1924 — 28 sierpnia wybuchło powstanie. Początek dała prowincja Cziaturi. (Jest to okręg bogaty w mangan, zamieszkały przede wszystkim przez ludność robotniczą, zatrudnioną w kopalniach!). Opanowano całą Gruzję, za wyjątkiem stolicy Tyflisu i portu Batum. Powstańcy liczyli na zdobycie większej ilości amunicji. Niestety nie udało się. To też po 7 dniach bolszewicy wzięli górę. Coprawda nie należało liczyć na pomoc od zmasonizowanej Europy przeciw.... bolszewikom.

Nastały czasy podobne naszym, murawiowskim. 10 tys. osób rozstrzelano, — 25 tys. wywieziono na Syberię, albo na wyspy Sołowieckie. To wolność i braterstwo komunistyczne pokazało do czego jest zdolne!

A teraz trochę ogólnych wiadomości o Gruzinach.

Mniejwięcej trzymilionowy naród gruziński zamieszkuje na Kaukazie. Nazwa: „Gruzja”, wywodzi się od imienia św. Jerzego — Georgiosa, którego postać jest także w herbie gruzińskim. Bogactwa naturalne — mangan, miedź, żelazo, cynk, ołów, węgiel, nafta... wspaniały klimat, zezwalający na hodowlę pomarańcz, herbaty, bawełny...

Przymioty Gruzinów stały się przysłowiowe. Kultura — bardzo wysoka, Zupełny brak analfabetów. (Oparte na wiadomościach, których ścisłość jest pewna do r. 1924).

Kiedy Europa zach. nie znała jeszcze poezji narodowej — XII wiek—w Gruzji powstają arcydzieła Szoty Rustawelli. (Główny utwór, porównywany z Iljadą, Boską Komedją, to Wephistka Osani. Jest to epos ku czci bohaterskiej królowej Tamary). Rustawel — to geniusz, jak nasz Mickiewicz. Pamiętajmy jednak, że Gruzja nie znała co to pokój. Nie na próżno miała w herbie św. Jerzego. Walczono z Persami, Tatarami, Turkami, walczono w obronie swej ojczyzny, w obronie Ziemi Św. wraz z krzyżowcami, w obronie Konstantynopola. Jeśli armia gruzińska została pobita, to tylko na krótko. Tak było z zastępami Tamerlana, który nie cały rok władał podbitą Gruzją. Ten sam los spotkał sułtana Ałgaza, którego 600 tys. armię rozbił doszczętnie król Dawid Odnowiciel, mający do dyspozycji 80 tys. Gruzinów i 200 Francuzów—cząsteczką armii krzyżowej.

Jadwiga i Joanna D'Arc w jednej osobie na tronie gruzińskim! Ledwie młoda królewna Tamara wstąpiła na tron, wyruszyła natychmiast w pole przeciwko Persom, Turkom, góralom kaukazkim. Zwycięstwo szło wraz z nią. Sułtan Damaszku został przez nią zmuszony do zaprzestania prześladowania chrześcjan. Sułtanowi Sałtadżinowi, według historyka arabskiego Iben Szadana, zaproponowała 200 tyś. dinarów za Krzyż Św., równocześnie domagając się restytucji wszystkich klasztorów zebranych chrześcjanom.

Na dworze Tamary znaleźli opiekę przedstawiciele nauki i sztuki. Wielką jej zasługą jest też odrodzenie moralne i umysłowe kleru.

W kilkadziesiąt lat później mongołowie opanowali Gruzję. Lecz ich szacunek dla podbitego narodu był tak wielki, że sami zaofiarowali Gruzinom pieczę nad miejscami świętemi w Jerozolimie. (Potwierdza to Mikołaj Radziwiłł, będący w Jerozolimie w 1583 r.) Od żadnej pielgrzymki gruzińskiej w Jerozollmie nie pobierano nigdy haraczu.

A wreszcie stosunki religijne w Gruzji. Obecnie mamy 75% prawosławnych, 15% katolików i 10% muzułmanów. Ci ostatni, to dawni brańcy tureccy, zamieszkujący do dziś dnia terytorium tureckie.

Gruzja przyjęła chrześcijaństwo w IV w. za pośrednictwem najbliższej metropolii — Bizancjum. Po nieszczęśliwem oderwaniu się całego wschodu od jedności kościelnej, Gruzja jednak zawsze żywiła wielką cześć względem papieży. W liturgii gruzińskiej wspomniano zawsze imię papieża. Królowie uznają go jako prymasa kościoła chrześcjańskiego. Papież Jan XXII erygował episkopat kat. (1528 r.)

Oto list pisany przez króla Tejmuraza w r. 1626 do papieża: „My, którzy potrafiliśmy zachować u siebie religię, krzewioną przez Apostołów samych piszemy do Was, do Rzymu, skąd — jak promieniotwórcze słońce oświecacie cały świat i widząc Trójcę Św., rozpowszechniacie po całym świecie łaskę otrzymaną od P. Boga... Wy jesteście epoką religii i pierwszym na całym świecie schronieniem pokrzywdzonych... Każde wasze zarządzenie wykonamy natychmiast. Jesteście Ojcem wszystkich wierzących, tak jak P. Bóg jest Ojcem wszystkich stworzeń”.

Jeśli przy takiem usposobieniu nie doszło do formalnej unii, to wina leży tylko w okolicznościach zewnętrznych, a nie w złej woli czy chociażby niechęci samych gruzinów.

Unia formalna? Tak, bo materialna do dziś dnia istnieje. Gruzini jeszcze dzisiaj żywią ten sam szacunek do Rzymu, do Kościoła katolickiego. Dowodem — fakt wysłania w r. 1919 do Watykanu poselstwa, które miało załatwić sprawę unii. Watykan wysłał nawet swego delegata do Gruzji, lecz ten nie zdążył już dojechać do wolnej Gruzji. Czy wreszcie taki fakt, jak uczęszczanie prawosławnych Gruzinów na wygnaniu na nabożeństwa katolickie. (Szerzej o unii w Gruzji traktowano w „Oriensie” — listopad — grudzień 1935).

Nieraz Polacy, głównie z zaboru rosyjskiego zapoznawali się z Gruzinami i zaskarbili sobie szybko przyjaźń Gruzinów. Może wpłynęła nato wspólna niedola, a może raczej wspólne cechy charakteru i kultura.

Jeszcze jeden szczegół. Gruzin znający język rosyjski, nigdy nie będzie się nim posługiwał w swej ojczyźnie. Polacy nieraz stawali wobec faktu niemożności rozmówienia się z Gruzinami. Skoro jednak Gruzin dowie się, że rozmawia nie z Rosjaninem, lecz z Polakiem, potrafi dla niego posługiwać się językiem rosyjskim. (Oparte na autentycznym wypadku).

KS. CZ. KUŹNIAK

WOKULSKI ŻYJE!

Na uroczystym otwarciu wielkiego Kongresu kupiectwa chrześciańskiego w d. 10 listopada wygłosił powitalne przemówienie prezes Centr. Związku Przemysłu Polskiego Andrzej Wierzbicki. Przytaczamy poniżej tę mowę, ze względu na pięknie przeprowadzony przez mówcę motyw łączności, jaka zachodzi w naszej kulturze między życiem a literaturą. Czytelników „Myśli Narodowej" tym bardziej mowa ta zainteresuje, że znają artykuł Stefana Godlewskiego, ogłoszony w nr 23 u. r., gdzie rzucona była inicjatywa upamiętnienia Wokulskiego i Rzeckiego tablicami na murach Warszawy.

KONGRESIE, zwołany ze wszystkich miast i zakątków Rzeczypospolitej! Rzesze kupiectwa polskiego wyczekiwały oddawna na dzień dzisiejszy, na wielki dzień zespolenia swych myśli, ideologii, uczuć, wysiłków z potężnym prądem życia Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

A jeśli szukać będziemy dla dzisiejszego Zjazdu najpiękniejszych symboli, znajdziemy je w dwuch tablicach pamiątkowych, kryjących się samem sercu Polski w Warszawie. Dziwne to są pomniki, w żadnym kraju nie znajdziemy podobnych. W dwuch starych domach na Krakowskiem Przedmieściu pod numerem czwartym i siódmym właśnie w tym roku wmurowane zostały tablice ku uczczeniu pamięci dwuch postaci—kupca i handlowca, którzy nie żyli życiem fizycznem, lecz powołani zostali do życia w wyobraźni poetyckiej Bolesława Prusa. Prus—wiecznie żywe serce, tętniące wszystkiem co jest narodowi najdroższe, Prus—umysł ogarniający swemi promieniami nietylko współczesne mu życie narodu, lecz i przyszłe jego losy, pół wieku temu stworzył Wokulskiego i Rzeckiego. „Lalka" Prusa—to zagadnienie siły i roli kupiectwa polskiego, zaklęte w czar poezji, w postacie Stanisława Wokulskiego — powstańca, kupca, filantropa i uczonego, i Ignacego Rzeckiego — żołnierza, handlowca i sławnego pamiętnikarza.

Postacie to fascynujące, bo siłą uczucia i głębią prawdy artystycznej swego twórcy wyszły poza swój stan kupiecki i stały się postaciami drogiemi i bliskiemi wszystkim sercom polskim.

Już w latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia Prus nietylko wiedział o tych wszystkich zadaniach kupiectwa polskiego, o których dziś tu mówimy, ale stworzył typ kupca-obywatela, obdarzonego temi cechami, jakie my chcemy dziś widzieć w kupiectwie polskiem.

Cóż to za cechy? Silny charakter, pionierska inicjatywa, torowanie dróg nowych, tworzenie na wielką skalę rzeczy w swoim zodzaju trwałych i pięknych. Obrót nietylko wyrobami krajowymi, ale zadzierżgnięcie więzi z Zachodem, pośrednictwo w stosunkach handlowych ze Wschodem, eksport, import, a w tem wszystkiem rzetelna uczciwość, solidność, honor kupiecki, jako cechy zasadnicze i podstawowe w pracy kupca, jeżeli chce on zdobyć szacunek społeczny dla warstwy, którą reprezentuje,

Dlatego okazało się, że pomimo uprzedzeń społeczeństwa polskiego do klasy kupieckiej, postać Wokulskiego przeniknęła do wszystkich serc polskich i stała się postacią narodową.

Dlatego tak się stało, że w postaci tej zlały się dwa pierwiastki. Pierwszy z nich—to pierwiastek idealizmu i romantyzmu, który każe Wokulskiemu patrzeć w daleką przyszłość ale i z przeszłości czerpać najwyższe napięcie sił ku walce o wskrzeszenie Polski. Wokulski był nietylko silnym i twórczym pionierem polskiego handlu, ale był powstańcem 63 roku, był zesłańcem syberyjskim. Wokulski rwał się myślą ponad technikę współczesną, ku wizjom wielkich wynalazków, szukał metalu lżejszego od powietrza, który pozwoli ludzkości zapanować nad przestworzami. Nie mógł przewidzieć wówczas, że metal taki, to jest motor dzisiejszych samolotów, który pracą swoją przezwycięża siłę ciążenia i nad prądami powietrznemi góruje.

Wielka idea narodowa, czerpana z przeszłości i wielkie wizje przyszłości — to są cechy idealistyczne charakteru Wokulskiego, Ale idee swoje chciał on realizować konkretnymi środkami. Był pozytywistą i realistą w wykonywaniu swego idealnego planu. A przecież to pokolenie tylko może być twórcze, które przez realne czyny pchnie naprzód życie narodu. I dlatego też przez zjednoczenie w sobie tych dwuch pierwiastków idealizmu i realizmu stał się Wokulski duchem, łączącym przeszłość i przyszłość.

Wokulski poniósł klęskę w walce z niesprzyjającem mu środowiskiem, ale nie zginął. Na tablicy, wmurowanej ku pamięci Rzeckiego, wyryte są daty jego urodzenia i śmierci. Ale niema daty śmierci na tablicy pamiątkowej Wokulskiego. Wokulski trwa i żyje, chociaż sto pięć lat minęło już od daty jego urodzenia. Wokulski jest symbolem, jest postacią nieśmiertelną, żyje i żyć będzie i realizować się stokrotnie wśród mas, zebranych na Wielkim Kongresie Kupiectwa Chrześcijańskiego.

Wokulski poniósł klęskę, bo był sam, bo nie miał za sobą silnej warstwy kupiectwa, bo nie był zrozumiany i oceniony przez najbliższych. Nie miał za sobą organizacji, która ustokrotnia siły, nie miał masy, którąby stanęła za nim i z jego wysiłków zrobiłaby wysiłek wspólny całego narodu.

Dzisiejszy zaś Kongres jest świadectwem powszechnego zrozumienia w społeczeństwie roli kupiectwa, dziś rola ta może być zrealizowana — bo kupiectwo dzisiejsze stanowi wielką organizację, wieki hufiec sił zespolonych z całem społeczeństwem. I rola ta zrealizowana będzie, jeżeli całe kupiectwo solidarnie pójdzie naprzód za przewodem tych zasłużonych rodów kupieckich o dawnej, pięknej tradycji, za przewodem tych, co w drodze wyborów zajmują naczelne miejsca w związkach branżowych i ogólnopolskich; jeżeli każdy z członków społeczności kupieckiej czuć będzie że nie jest sam, jeżeli wszystkich ogarnie ten wielki pęd, który skrzydła przypina mężnym hufcom, idącym ku realizacji potęgi Rzeczypospolitej.

Wyjść poza swój stan i warsztat, obejmować myślą i sercem całość życia narodowego, a jednocześnie codzienną wytrwałą pracą na swoich placówkach budować konkretną rzeczywistość polską—oto zadania kupiectwa polskiego.

Wiedział o tem i Prus i Wokulski. Ale Prus nie przewidział, że za pięćdziesiąt lat nastąpić może w życiu stanu kupieckiego nowa era i nowe wcielenie Wokulskiego, już nie jako tworu wyobraźni poetyckiej i nie jako unikatu, lecz w postaci Wokulskich i Rzeckich żywych, uwielokrotnionych, którzy w oparciu o mocne organizacje, pod przewodem najlepszych z pośród nich dźwigać będą swoje warsztaty, a myślą swoją i czynem wyjść potrafią poza dzień dzisiejszy.

O tem jeszcze te tablice pamiątkowe na Krakowskiem Przedmieściu nie mówią, ale każdy z uczestników dzisiejszego Kongresu, kto na nie spojrzy, wiedzieć będzie, że są one symbolem odrodzenia polskiego stanu kupieckiego i jego roli w realizacji zadań dziejowych Rzeczypospolitej.

ANDRZEJ WIERZBICKI

AUTOKRYTYKA SIEDLECKIEGO

LIST DO REDAKTORA

PRZED CHWILĄ otrzymałem „Myśl Narodową” z Twoją oceną mojego „Ormianina z Bejruthu”. To, co napisałeś— świetne i głębokie, jak każda krytyka, która z pod pióra Twego wychodzi. Nie to oczywiście nazywam świetne, co z dobrotliwej przyjaźni zechciałeś powiedzieć przychylnego o sztuce, lecz wszystko, co mówi o Twoim sposobie patrzenia na twórczość i na dzieła sztuki.

Wyczułem w Twojej krytyce, że ta najnowsza moja komedja wzbudziła pewne wątpliwości. Przy maksymalnej dobrej woli i chęci przeniknięcia zamiarów autora, musisz stwierdzić, że intencje artystyczne nie dość jasno się wypowiadają. To jest dowodem, że nie napisałem „Ormianina” tak, jak go powinienem był napisać. Po wystawieniu sztuki, tak już stoję na uboczu w stosunku do niej, że mogę sobie zdać sprawę, w czem tkwi jej kardynalna wada. Określiłbym to tak: maska zanadto przyrosła sztuce do twarzy, nie sposób jej z lica oderwać — i już widzimy tylko maskę.

„Ormianin z Bejruthu” powstawał we mnie jako zagadnienie wyłącznie psychoznawcze. Nie o psychikę jakiejś rasy mi szło, lecz o analizę namiętności pewnego typu ludzkiego. Jakież było centrum tego mojego zagadnienia? D o p u s t m i ł o ś c i, jeżeli to tak nazwać można. Tu może trzeba się wyeksplikować, co sobie nazwałem d o p u s t e m w miłości:

Zgodzisz się zapewne ze mną, że pośród przelicznych tradycyj, jeśli już nie rutyn literackich jest też i ta, która z góry rysuje plany, jakim powinien być człowiek, obdarzony prawem kochania. Nie trudno stwierdzić, że w typie takiego człowieka wszystkie władze charakteru i temperamentu dostosowują się harmonijnie do tego prawa. Jeżeli kocha, to musi być w jakimś stopniu poetyczny, a w każdym razie sympatyczny dla widza. Zanurtowało mnie pytanie: a jeżeli miłość, namiętność uderzyła w człowieka, którego charakter jest krańcowym zaprzeczeniem cech „amanta”. Czy ona, ta miłość jest li tylko śmieszna? jak to bywa u starszych panów z fars.

Doskonale to dostrzegłeś w swojej recenzji, że Naskardżian, ów ormianin z Beiruthu jest śmieszny, ale w miłości swej jest raczej dramatyczny, może nawet wzbudzający współczucie, kto wie, czy tym uczuciem nie rehabilitujący po części swoich wad i łajdactw. Czy tylko to jest dramatem „Ormianina z Bejruthu”? Tutaj Ci się muszę wyspowiadać z pewnych swoich przeświadczeń:

Im głębiej idę w lata, tem coraz więcej mam na to dowodów, że w człowieku działa jakiś utajony w nim psycho-magnetyzm. Ten jego magnes psychiczny przyciąga doń odpowiednie jego charakterowi kręgi wydarzeń życiowych, czyli jego l o s. Bardzo wiele nieszczęść spada na nas dlatego, że czasem próbujemy pójść przeciwko swej naturze, czyli... skrzywiamy działanie swego psychomagnetyzmu. Gdyby mój Naskardżian nie sprzeniewierzył się był swojej naturze skąpca i geszefciarza, czyli; gdyby się był nie zakochał śmiertelnie w Marfie, — pozostałby typem znacznie obrzydliwszem niż jest, ale nie przyciągnął by kręgu swoich dramatów życiowych. Nie trudno się chyba domyślić, że brnie w karygodne imprezy handlowe, by i o n a była bogatsza. Łowi sobie wspólnika który mu odbiera ukochaną żonę, tenże wspólnik powoduje nieszczęście Larkisa i Lidyi, dzieci Naskardżiana. Wszystko po kolei wywodzi się z tego opacznie nastawionego magnesu, pośrednika między człowiekiem a jego losem. Tyś to w recenzji swojej zauważył i za to Ci jestem wdzięczny.

No ale ta maska, nałożona na lice akcji, o której to masce wspomniałem na początku listu?

Jak to napisałem Ci przed chwilą, założyłem sobie typ mężczyzny, którego natura była by jak najmniej „uprawniona do miłości”, Wydawało mi się, że takim krańcowym przeciwieństwem owego uprawnienia będzie chciwstwo, przebiegłość, chorobliwy pekuniaryzm. Mogłem zamiast Naskardżiana postawić w sztuce człowieka, któryby się nazywał na „ski”, lub „wicz”, ale czy typowa natura polska zgadzała by się z tymi cechami charakteru, z tymi instynktami, które mi w bohaterze były niezbędne? Zdawało mi się, że powstałoby coś sztucznego. Bliższy moim potrzebom kompozycyjnym był by już żyd, ale bałem się, że przy Naskarsohnie mimowoli wpadnę w szmonces. Odziałem więc mojego bohatera w duchowy kostjum egzotycznego ormianina, dobrze mi znanego ze wspomnień kaukaskich. Cechom ormianina odpowiada zarówno merkantylizm jak i gorące pasje miłosne. Chcąc jednak, by ta ormiańskość nie była li tylko ornamentem dekoracyjnym, starałem się możliwie najskrupulatniej odmalować środowisko, psychikę zbiorową etc. Widocznie jednak w tej mojej staranności poszedłem zadaleko i pod maską ormiańskości skryło się doszczętnie lice ogólno ludzkie problematu. Mea culpa.

Wad takich zresztą jest więcej. Broniłbym tylko, jak i Ty to zresztą bronisz w swojej recenzji, elementu humoru. Na mój rozum, sedno sztuki jest posępne, gdy sobie kto zada trud wniknięcia w etyczną wartość wystawionych w „Ormianinie” ludzi. Jest ono posępne i może nawet zastraszające— czy jednak sprzeczne z duchem czasów, w jakich żyjemy? Ale dlatego właśnie, że dno spraw tak tu bolesne, — nie do wytrzymania byłaby sztuka, gdyby nie peryferyjny komizm, w którym niech nam się wydaje, że to tylko n i b y prawda ludzka, a nie prawda — jak mnie się to wydaje: — najprawdziwsza...

ADAM GRZYMAŁA SIEDLECKI

NA WIDOWNI

Zapominamy o Sienkiewiczu.—Trzeba rozejrzeć się dlaczego.—Różnorakie przyczyny.—Sądy feldmarszałkowskie. — O wielkości i przeciętności.

SĄ ROCZNICE pełne wymowy i takie, które się sztucznie jakby odkrywa. Jest więc np. teraz Grottgerowska rocznica — siedemdziesiąt lat od śmierci wielkiego malarza, ale ona nic nam absolutnie nie mówi. Ani Grottgera do nas nie zbliża, ani nie powiększa, ani nie każe się żalić, że on jest zapomniany... Jest poprostu jedno miejsce w panteonie i można tam przy okazji, niczem w dzień zaduszny, złożyć kwiaty.

Ale całkiem inna jest rocznica Sienkiewiczowska. 21 lat właśnie upływa jak zmarł wielki pisarz w Vévéy. Maleńki jak na życie narodu i sławę pośmiertną kawałek czasu, nawet i jedno pokolenie nas od tych dni nie dzieli. A jednak bierze ochota powiedzieć — jak to dawno i głową pokiwać nad zmianami. No i przedewszystkim stwierdzić, że Sienkiewicz dzisiaj jest bardzo, bardzo zapomniany.

I oczywiście niesłusznie. Niesłusznie z tysiąca przyczyn; bo ani żadne nowe sławy literatury go nie zaćmiły, ani wartości dzieł jego nie zbladły. Nie zmniejszyła się chyba nawet jego poczytność. A jednak jest on dla wielu „niemodny" „przestarzały" czy „nudny". Wiadomo ostatecznie, że z Piaseckim, czy Urke Nachalnikiem iść co do dreszczyku w zawody nie może. Że zadanie pisarza pojmował jednak nieco inaczej i na sensację nigdy sztuki nie prostytuował.

Warto wytoczyć proces czemu jednemu z największych naszych pisarzy dzieje się dziś taka krzywda. Dlaczego ten, który był uosobieniem ducha narodu, sławę naszego imienia rozniósł po świecie i uczył męstwa i bohaterstwa młodzież naszą — jest dziś jakby na indeksie. Ten proces koniecznie trzeba przeprowadzić, by wyjaśnić, że Sienkiewicz nie oddalił się od narodu i te dwadzieścia lat zbiegłych nie uczyniły niezrozumiałą jego sztuki.

Przyczyn jest dużo i bardzo rozmaitych i stąd trudno je systematyzować. Będę je więc wymieniał bez żadnej specjalnej kolejności, ot tak poprostu jak się nasuwają pod pióro, a zacznę od tej, która na czytelniczych snobów napewno najwięcej oddziałała, od ujemnych ocen krytyki.

Historia to dosyć dawna, bo sięgająca jeszcze życia autora. Zaczął ją bardzo zjadliwie Feldman przed trzydziestu pięciu laty. Książka ładnie i sumiennie napisana znalazła licznych czytelników i doczekała się licznych wydań. A jeśli chodzi o Sienkiewicza to sąd niby chwalący, ale w gruncie rzeczy bardzo ostry jest pod wieloma względami tak prawdziwy, że bardziej prymitywny, mniej krytyczny czytelnik nie mógł sobie z jego sugestjami dać rady, i mądrze odrzucić plewy. A ponieważ mimo wszystko nikt z nas nie chce być uważany za przeciętnego nawet ten, który jest nim na prawdę, ale zawsze pragnie się czemś wyróżniać, i za coś lepszego uchodzić, więc też oskarżenie Sienkiewicza o uosobienie w swojej twórczości ludzi zwykłych musiało oczywiście działać odstraszająco na snobów. Sądy te poszły w świat i zrobiły swoje; — zaczęło być w lepszym tonie chwalić i czytać inne dzieła, a na Sienkiewicza trochę wzruszać ramionami. Ludziom głębszym, a raczej tym pozującym na głębszych, których zawsze o wiele więcej od istotnie głębokich, zaczął on nie wystarczać.

To jedna ważna przyczyna. Jako drugą wymieniłbym fatalny poziom epigonów. Nic tak nie obrzydza przepięknego oryginału jak jego liche reprodukcje; nic tak jak one nie pomniejsza wzruszeń przy zetknięciu się z samym arcydziełem. Blедną wtedy barwne palety — zaciera się rysunek postaci. Takie częste podrzeźnianie wielkiej sztuki, takie uparte prostaczenie prostoty jest, wydaje mi się, stanowczo za mało doceniane w swoich złych skutkach i zbyt pobłażliwie traktowane. A tymczasem Sienkiewicz padł tu istną ofiarą całej rzeszy pisarków co jego kunsztowną a tak naturalną prozę — przerobili na dziwnie ckliwe gadulstwo — a z prostoty jego ideologicznego *creda*, uczynili mimowolny paszkwil na samo to nie wyszukane *credo*. Rzeczy wielkie sa zawsze proste, w ostateczności się stykają. Płoszowski za dużo miał kultury, by wierzyć tak jak Bartek — zamało, by wierzyć świadomie i istotnie. I tu jest wieczne źródło nieporozumień, nieporozumień do zenitu doprowadzonych właśnie przez tych niefortunnych naśladowców wielkiego pisarza.

Dalej skolei do literatury pod wpływem wojny i całego zresztą szeregu innych przyczyn — dostały się takie słowa i takie fakty, które dawniej naogół stały po za jej nawiasem. I oczywiście tu Sienkiewicz został pobity na głowę. Feldman w swojej książce pisze, że w „Rodzinie Połanieckich" „aż parno od erotyzmu". Smiać mi się chce, gdy to czytam. Bo ten erotyzm, który jest w tej książce, to ostatecznie w najszlachetniejszym rodzaju, ani troszeczkę nie *shoking*, porządnie dyskretny i salonowy. Nie w erotyzmie wina, ale w ludziach. I ta „parna" rzekomo atmosfera „Rodziny Połanieckich" jakżeż jest daleka od wstrętnych wyziewów literatury Rusinka, Jalu Kurka czy Zegadłowicza. Wstyd bierze właśnie w imię erotyzmu, właśnie w imię tego najpiękniejszego uczucia. U Sienkiewicza była poezja, poezja może nawet często zmysłowa — ale zawsze piękna. A dzisiaj, co tu dłużej mówić: kloaka. I zbrukanego nią smaku Sienkiewicz oczywiście nie zadowoli. Nie maluje on „wszystkiego". Ale dawniej panowało pojęcie, że literatura jest dla człowieka z duszą i ciałem, tego kto kocha, a nie dla reprezentanta najwyższego gatunku zoologii, który tylko pożąda.

A więc Sienkiewicz należy do pewnego — dawniej. Do tego dawniej, które wylew proletariackiej brudnej fali chce znieść z powierzchni ziemi, a które jednak musi się jakoś ocalić i utrzymać. Bo naród to nie tylko lud, choć bez ludu go nie ma. Wiek XIX-ty wytworzył miasto molocha, ale nie rozwikłał jego problemów. Pchnął ludność wiejską do niego, ale nie po wolność jak dawniej a po niewolę. W krzywdzie wyzysku i w brudzie marnego bytowania wykoleił, wynaturzył ludzkie istnienia. Fałszywa ideologia żerowała na biedocie. I zamiast dźwigać te doły, ratować w nich ludzką a nie proletariacką godność, chronić i bronić robotnika — nauczono górę społeczną wąchać ten brud i rozkoszować się niezdrowiem. Zło się stało i dzisiaj bardzo trudno to odrabiać. Ale to są problemy szersze i ogólne. Przyjdzie kiedyś atmosfera zdrowsza, to co zgniłe się rozleci i wtedy zwycięży piękno. Wtedy przyjdzie

rewiwal Sienkiewicza. Narodowa Polska z swoją nową syntezą Polaka napewno da jego książki do rąk młodzieży. O to można się stanowczo nie martwić — ale dzisiaj chciałbym jeszcze tylko osłabić trochę ten feldmanowski zarzut „przeciętności“ Sienkiewicza.

La gloire i erotyzm — oto mają być leitmotywy jego twórczości. A choćby? to czyż to takie płytkie, takie przeciętne? — Czy przede wszystkiem takie szalenie łatwe? Przecież to w dawny prosty, ale nie mniej wielki sposób ujmuje w sobie cały sens życia. Trzeba mocno kochać i śmiało walczyć. Trzeba być czemś i dla siebie i dla kogoś, czemś imponować, czemś zadziwiać, czemś sobie zjednywać... I jeśli Feldman sądzi, że Połanieckiemu udało się wiele, bo miał Marynię „ogromnie kochaną i ogromnie swoją“ — to nie ma w tem racji — bo to znowu ogromna treść życia. Dajmy spokój Połanieckiemu czy był zły czy dobry, ale nie miejmy jednak pretensji do Maryni, że się w nim „roztopiła“, snać to było jej potrzebne, a ostatecznie na cóż miała użyć swego życia jak nie „na kochanie“ wzorem Halszki Zbaraskiej.

Bo wogóle, rzeczy wielkie i proste — są zawsze także i przeciętne. Przeciętne dlatego, że do nich ogół świadom swych powołań do wyższości zawsze aspiruje. I bardzo przeciętne są same rady dekalogu, gdy nie pamiętać o ich wyżynach. Ale sens i wielkość są tem, by wielkość widzieć i uparcie iść do niej, a nie gonić gdzieś za nią — bo wtedy napewno ucieknie.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

„SŁOWO NARODOWE"

Otrzymaliśmy ze Lwowa pierwsze numery „Słowa Narodowego", w którym odradza się tradycja „Słowa Polskiego", a następnie „Kuriera Lwowskiego". Z radością powitaliśmy wskrzeszony dziennik, zapowiadający dla Lwowa i całej prowincji wschodnio-małopolskiej nowy okres — da Bóg — już trwalszy — wypowiadania się polskiej myśli i polskich dążeń.

A działo się tak w tej dzielnicy niepodległego państwa polskiego, że społeczeństwu polskiemu to wypowiadanie się było utrudniane. „Słowo Polskie" za czasów zaboru austriackiego tak świetnie prosperujące pomimo swego nacjonalistycznego kierunku, na skutek intryg podstępnie wyrwane zostało z rąk Stronnictwa Narodowego. To samo spotkało „Kurier Lwowski", wydawany przez to samo grono zamiast „Słowa Polskiego". Dwukrotnie zniszczono podstawy materialne wydawnictwa; zdawało się, że z ruiny już się nie dźwignie. Niezmożonej żywotności zbiedzonego, pozbawionego steru społeczeństwa polskiego przypisać należy ten triumf prawdy, która w „Słowie Narodowym" znalazła swój organ.

Żywotności tej dowodem jest, że ci ludzie walczący ofiarnie o polską prawdę, tak srodze pokrzywdzeni, nie szukają odwetu w rekryminacjach, lecz na łamach wskrzeszonego pisma ze spokojem a nawet z pogodą powracają do przerwanej pracy. Krzepi ich wiara w słuszność sprawy, o którą rozbije się małoduszność polityczna małych ludzi przeszkadzających Polsce.

Pierwszy numer „Słowa Narodowego" rozpoczyna się od artykułu programowego „Nasze dążenia“, w którym czcigodny patron pracy polskiej w Małopolsce Stanisław Głąbiński wyłuszcza zasady polityki Stronnictwa Narodowego, a słowa jego pełne wiary, umiaru i jasnego wejrzenia w rzeczywistość podziałają dobroczynnie na społeczeństwo jako skrzepienie sił moralnych.

W tymże numerze znajdziemy doskonałe artykuły: J. Matyjasika, naczelnego redaktora pisma, J. Bogdanowicza, księdza Matusa i Witolda Nowosada, wybitnych działaczy i publicystów obozu. Z gorącym powitaniem pisma wystąpił przedstawiciel ziemiaństwa miejscowego książe Witold Czartoryski z Pełkiń.

Talent dziennikarski i wiedza redaktora Matyjasika rokują „Słowu Narodowemu“ należyty poziom i rozwój. Tego pismu z całego serca życzymy.

WYMOWA FAKTÓW

Delegacja Polskiej Partii Socjalistycznej zgłosiła się na Zamek i została przyjęta oficjalnie przez p. Prezydenta Rzeczypospolitej. Delegacja przedłożyła p. Prezydentowi memoriał, w którym żądała przywrócenia ustroju pełnej demokracji, nawrotu do czasów parlamentarnych, pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego.

Fakt powyższy posiada wiele znamion bezsiły opozycyjnej polskiej lewicy, aczkolwiek jest przejawem wzrostu inicjatywy, celem znalezienia wyjścia z dzisiejszej sytuacji, konsekwencji zamachu z maja 1926 r. Bezsiła przejawia się i w rezygnacji z platformy bezwzględnej opozycji, uprawianej do tej pory bez kompromisu. Bezsiła przejawia się i w żądaniu przywrócenia ordynacji wyborczej opartej na starych zasadach liberalnych, czyli, że odkłada się na bok myśl o rewolucyjnym sposobie zdobycia władzy, czym się starcza P. P. S. przez kilka ostatnich lat bezustannie podniecała.

Pełnię znaczenia postępku ulicy Wareckiej możemy ujrzeć dopiero na tle rysującej się obecnie już całkiem wyraźnie linii podziału w łonie samego obozu sanacyjnego. Obóz ten opierał się jedynie o osobisty autorytet zmarłego Marszałka Piłsudskiego i składał się z ludzi o rozmaitych przekonaniach, o rozmaitym nawet światopoglądzie. Z chwilą śmierci osobistości będącej ośrodkiem, całość koalicji rządzącej dzielić się poczęła na bliższych świata nacjonalistycznego i bliższych świata marksistowskiego. Do pierwszych należy armia z Marszałkiem Rydzem-Śmigłym na czele, do drugich żywioły t. zw. lewicy legionowej mającej szerokie kontakty z kołami lewicy opozycyjnej. Wprawdzie uczyniono niedawno kroki celem spacyfikowania nastrojów wewnątrz obozu legionowego, słynnym przyjęciem w gmachu Prezydium Rady Ministrów, „menażką z rumem", nie mniej jednak podział ideologiczny istnieje, gdyż istnieć musi, tak jest życiową koniecznością.

Logikę nieubłaganą życia mogliśmy zaobserwować i podczas niedzielnego zjazdu Kupiectwa Chrześcijańskiego. Zjazd ów był jedną, wielką manifestacją nacjonalizmu, ostro przeciwstawiał się pozycjom żydowskim, żądał zwalenia ich bezwzględnego, uchwalał jednogłośnie tezy będące dorobkiem obozu narodowego. Tezy te uchwalali entuzjastycznie i ludzie należący niedawno jeszcze

do B.B.W.R. Zjazd zakończono odśpiewaniem Hymnu Narodowego i Hymnu Młodych.

Pogłoski mówią, że wkrótce na Zamek mają się udać przedstawiciele Stronnictwa Ludowego. Następują więc wydarzenia kładące kropkę za tymi latami naszej historii, które nosiły nazwę „ery majowej". Dokonują się zmiany. Linia podziału rysuje się coraz wyraźniej. Jeszcze sytuacja nie jest wyjaśniona — jednego dnia np. uderza się w Związek Nauczycielstwa Polskiego, w parę tygodni pod naciskiem innych nastrojów daje się p. Musiołowi dymisję, niemniej jednak wymowa faktów jest ogromna.

Trzeba tylko potrafić wyciągnąć konsekwencje.

MIĘDZYNARODÓWKA I ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI

W dniu Święta Niepodległości manifestować miały na ulicach stolicy wszystkie organizacje młodzieży a w manifestacjach tych dźwięczeć miał jeden motyw: obrony granic państwa, utrzymanie niepodległości. I dlatego nie należy dawać się ponosić zbytniemu entuzjazmowi na widok maszerującego (zresztą bardzo nielicznego) oddziału TUR'owców z czerwonym sztandarem, oraz na widok maszerujących oddziałów szkół żydowskich, zarówno bowiem w czerwonych emblematach, jak i w młodzieży żydowskiej karmionej polskim chlebem (jeszcze!) tkwi zarazek rozkładu pogotowia moralnego narodu, zarazek rozkładający rycerską z natury duszę polskiej zbiorowości.

Łudzimy się obserwując lewicę, tę z pod czerwonego sztandaru, że stanowić ona może część naszego zbrojnego ramienia. Wciąż usiłujemy patrzeć na śpiewającą chętnie „Międzynarodówkę" młodzież, jak na bojowców z Placu Grzybowskiego. Nie pamiętamy, że Piłsudski musiał aż dokonać rozłamu wśród organizacji socjalistycznej, by uratować, od zagłady duchowej ocalić tę cząstkę, w której, mimo marksistowskiej szkoły myślenia, tkwiły zdrowe instynkty polskie. Wciąż usiłujemy patrzeć na śpiewającą chętnie „Międzynarodówkę" młodzież jak na don kichockich obrońców wolności z pod dziewiętnastowiecznego sztandaru z napisem: „Za naszą i waszą ....". Zapominamy, że walka o niepodległość zamieniła się obecnie na walkę o wielkość, a tego ideału, którego wyrazem były maszerujące wspaniałe szeregi naszej armii, ideału wyznawanego przez młodzież wznoszącą radośnie ręce do góry, nie zrozumie nigdy młodzież zawistnie wznosząca w górę swe pięści.

Zasada powoływania do obrony wszystkich jest tak słuszna, że atak płynąć może jedynie z poczucia ambicji narodowej, a tej ci z pod czerwonego sztandaru nie mają. Niech bo by kto spróbował krzyknąć w dniu 1-ym Maja: „Niech żyje wyższość kultury polskiej!", a zobaczylibyśmy, z jaką reakcją by się spotkał maszerujących szeregów. Tymczasem zaś, w dniu 1-ym Maja pochody złożone wyłącznie z żydów wznosiły okrzyki: „Niech żyje wyższość kultury żydowskiej!" — (Sic!). I żaden TURowiec nie zaprotestował, żaden nie włożył do ust palców, by gwizdnąć, nikt nie począł tupać, by bezczelny ten w swojej treści okrzyk zagłuszyć. I nikt nie śpiewał Hymnu Narodowego, ale za to ich towarzysze z „Bundu" śpiewali „Hatikwę".

Wszędzie możemy sobie stwarzać iluzję, tylko nie tam, gdzie wchodzi sprawa całości granic Rzeczypospolitej. Tam trzeba patrzyć takimi oczami, które nakazywały czasu wojny zakładać obozy izolacyjne, jak ten w Jabłonnie.

Jakże więc słusznym był pierwszy, zasadniczy punkt uchwał wiecu młodzieży akademickiej w dniu 11-go Listopada:

„1) Armia Polska winna być zdrowa moralnie, przepojona wiarą i miłością Ojczyzny, potężna duchem i poważna w siłę oręża. Dla tego też służba w Armii Polskiej winna być zaszczytnym obowiązkiem dla wszystkich tych, którzy gotowi są pracę i życie swe poświęcić dla Ojczyzny. PMA, znając całą wrogość do Narodu Polskiego żydów, pamiętając ich wielkie zbrodnie, popełnione wobec Narodu i Armii Polskiej w przeszłości i w dobie obecnej, stwierdza, że żydzi niezależnie od zajmowanych stanowisk winni być natychmiast usunięci z Armii Polskiej i ze wszystkich dziedzin życia, mających z tą Armią łączność".

I jakże słowa te odbiegają od znanego refrenu „Internacjonału":

„Bój to będzie ostatni,
Bój to będzie, krwawy bój,
A związek nasz bratni..."

To jest związek proletariatu po zwaleniu wszystkich granic, a więc i Rzeczypospolitej.

Nie wolno się łudzić. Nikomu.

NAUKA I LITERATURA

NIEZNANY WIERSZ
EUGENIUSZA MAŁACZEWSKIEGO

Utwór niniejszy, podany tutaj w wolnym przekładzie, wydobyłem z zeszytu, zawierającego część puścizny rękopiśmiennej po zawcześnie zmarłym poecie Małaczewskim. Papiery po nim znajdują się w posiadaniu pp. S.

Wymieniony brulion ma na środku szarej okładki napis „1919/18", a u dołu drobny rosyjski nadruk: *„Kniżnij i piszczebumażnij magazin „Ziemlja i szkoła" g. Archangielsk"*.

Został najwidoczniej kupiony w składzie materiałów piśmiennych w Archangielsku podczas pobytu Małaczewskiego na Północy.

Zawiera wiele rozmaitych rodzajem literackich i różnych datą utworów.

Poniżej cytowany wiersz należy do działu: „Liryki", a datą powstania zbliżałby się zapewne do informacji zawartej w notce jednego z poprzedzających utworów: „Ocean Północny w styczniu 1919".

Pisany po rosyjsku, stanowi rzadkość w tym względzie.

S. J.

EUGENIUSZ MAŁACZEWSKI

OGRÓD POŻEGNAŃ

Pożegnali się chłodnym spojrzeniem,
zimnym uściskiem obcych dłoni —
Świat im poszarzał w oczach—chociaż kwitł
ogród, czarowny mgłą upojeń.

W dławiącym smutku szli i w zadumie,
łamiąc w szpalerach gałązki drzew —
Las w lazurowej siniał oddali.
Rozgłośnie dzwonił ptaszęcy śpiew.
. . . .

Ten ogród nocą w poświacie
księżyca — jako matka czuł —
dniem zaś — przeciw złotym słońca
zalewom — cieniem drzewa legł.

Z rosyjskiego przełożył
STANISŁAW JÓZEFOWICZ

Warszawa, w listopadzie 1937 r.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Dowiadujemy się z prasy, że z pisarzy, których wymieniliśmy w poprzednim zeszycie; nie wszyscy przyjęli ofiarowaną im przez Akademię Literatury odznakę Wawrzynu. Odmówili przyjęcia jej prof. Ignacy Chrzanowski, Adam Grzymała-Siedlecki i Witold Noskowskf.

Noskowski napisał do sekretarjatu Akademii list tej treści:

„Przeglądając pisma dzisiejsze, znajduję swoje nazwisko w spisie tych osób, które otrzymały t. zw. Wawrzyn Akademicki.

Ostatecznie nie byłoby w tym nic strasznego, intencja zrobienia mi przyjemności jest równie jasną jak szlachetną i możnaby ostatecznie przyjąć — zwłaszcza przywoławszy na pomoc poczucie humoru — że wszystko jest jak najlepiej na tym najlepszym ze światów, gdyby urzędująca w tych sprawach instancja zechciała była zawiadomić mnie o tym prezencie przed podaniem wiadomości, do pism. Załatwilibyśmy wtedy tę błahostkę od ręki między sobą--podczas gdy obecnie na tym skończyć się, niestety nie może, i gdy rzecz stała się raz publiczną, jestem zmuszony również publicznie oświadczyć, że tego lauru sobie nie życzę, i że go nie przyjmuję.

Proszę przyjąć uprzejme wyrazy

(—) Witold Noskowski".

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

St. Łempicki. „Polski ideał wychowawczy". Bibl Współpracy Domu i Szkoły. Nr. 15. Książnica-Atlas. Lwów-Warszawa. Str. 40.

Autor, który w ostatnich czasach zajął się badaniem naszych tradycji wychowawczych i wydał na ten temat obszerne studium, zajmuje się w niniejszej pracy historią polskiego ideału wychowawczego, określeniem jego konstrukcji i elementów składowych. Po wstępnym rozdziale, dyskutującym w ogólności problem ideału wychowawczego, jego rolę w dzisiejszej Polsce, jego stawanie się oraz wagę pierwiastków tradycyjnych, przechodzi autor do dziejów tworzenia się tego ideału. Od średniowiecza poprzez kilkowiekowe trwanie Rzeczypospolitej szlacheckiej, poprzez pierwszą walną bitwę o ideał wychowawczy, stoczoną przez Komisję Edukacyjną, prowadzi autor czytelnika w głąb XIX i XX w., aż do naszych czasów, ukazując, co każdy okres, co poszczególne obozy, partie polityczne i ugrupowania społeczne, kierunki myślowe i wielcy przedstawiciele narodu wnosili do konstrukcji tego ideału. Obszernie zajęła się ta praca doniosłą rolą Józefa Piłsudskiego jako wychowawcy i pedagoga narodowego. Ostatni rozdział poświęcony jest zagadnieniu wychowania moralnego i etyki indywidualnej w tradycjach Polski.

*

Jerzy Strzemię Janowski. „Karmazyny i żuliki". Warszawa 1938. F. Hoesick.

Pamiętnik ziemianina, myśliwego i koniarza, wspomina o psach do polowania, o znajomych psach pokojowych, o hodowli gołębi, o oswojonej małpie i sroce. Opowiadania zdarzeń i spostrzeżeń. Humoreski, figle i żarty.

Obok nich pisze autor o swych przygodach jeździeckich, nierzadko dzikich i karkołomnych, o koniach zaprzęgowych i pod wierzch, wszystko z fachowym znawstwem, pasją i suggestią słowa.

Nasza literatura dotycząca hodowli koni ma większą tradycję od dziełka Micińskiego, koniuszego króla Zygmunta Augusta „O świeżopach i ograch", po przez Dorohostajskiegu „Hippikę" i Czapskiego monumentalne, w trzech tomach, studium „Koń", aż do współczesnych wydawnictw i czasopism, poświęconych racjonalnej hodowli, treningowi i wyścigom.

We wspomnienia J. S. Janowskiego wmieszał się talent literacki.

W swym majątku w Małopolsce Wschodniej miał stajnię wyścigową, a w swych zawodach jeździeckich iście kmicicową brawurę. Portrety „psychologiczne" koni, w książce „Karmazyny i żuliki" są nakreślone z pełnym entuzjazmu, nieledwie patriotyzmu, sentymentem. Każdy z opisywanych koni towarzysz i przyjaciel, inny, nie już pod względem krwi, wyglądu i biografii, ale inny naturą, charakterem, „duszą". Uwydatniony tak, jak to mogło ukazać rozmiłowanie się w koniu i odczucie jego piękna, wsparte rycerską przeszłością kresów.

Styl pisarski J. S. Janowskiego świeży, rozhukany, prosto ze wsi, przykuwa uwagę i chwyta za serce. (A. W.)

NOWE KSIĄŻKI

Hubert Witold inż. Wpływ bitew morskich na przebieg dziejów. Warsz. 1937. Wyd. Ligi Morskiej i Kol. Str. 105.

Sprawy Narodowościowe. Nr 3 z r. 1937.

Marchołt. Kwartalnik. Październik 1937.

Język Polski. Nr 5 z r. 1937. Kraków.

Kossak Zofia. Wielcy i mali. Wyd. II-e. Warsz 1938. „Rój".

Kuncewiczowa Maria. Dni powszednie państwa Kowalskich. Powieść radiowa. Warsz. 1938. „Rój".

Gumbrowicz Witold. Ferdydurke. Warsz. 1938. „Rój".

Piechal Marian. O Norwidzie. Warsz. 1937. „Rój". Str. 207.

Jaki ma być ustrój państwa narodowego? Na ten temat, poruszony w nr 47 przez T. Dworaka („Totalne państwo narodowe"), w najbliższych zeszytach „Myśli Narodowej" zabiorą głos w dyskusji prof. U. B. w Wilnie Wacław Komarnicki i prof. Władysław Tarnawski ze Lwowa.

MUZYKA

TEATR WIELKI: „Legenda Bałtyku", opera w 3-ch aktach Feliksa Nowowiejskiego.

Możnaby zacząć recenzję od słów: „Popularny twórca melodii Roty...", i na zasadzie zasługi narodowej napisać szereg słów ciepłych, zdawkowych, ale tak czynić nie wolno. Na dźwięk melodii Roty jeszcze dzisiaj ludzie powstają z miejsc a nawet wznoszą dwa palce w górę, jeśli natomiast idzie o „Legendę Bałtyku", nikt nie powstanie, chyba, że dla uczczenia powojennych intencji kompozytora.

Przede wszystkim... dopiero teraz — mówią wszyscy— opera warszawska zdobyła się na wystawienie tego dzieła. Ja skorygowałbym owo powiedzenie — o wiele za późno. W okresie, kiedy powstały dwa pierwsze akty, „Legenda" znalazłaby zapewne poklask, jest przecież utworem typowo sezonowym, złączonym ściśle z latami poprzedzającymi wojnę. Jest w swoim stylu typowo secesyjna z całą pretensjonalnością jaskrawą, specyficznego gatunku patosem. Po świecie już krążą wieści o nowych formach i doświadczeniach muzycznych, ale są to—strach pomyśleć—poczynania godne rozdzierania na piersiach szat. Trzeci akt dopisano w dobre kilka lat potem, i jest on świadectwem konsekwentnego oporu kompozytora przed zdobyczami już nawet uświęconymi, dowodem „ostawania" się.

Nie należy z tego wszystkiego sądzić, że opera posiada jednolity styl. Brak go nawet szczególnie uderza; wstawki o motywach zaczerpniętych z muzyki ludowej przeplecione są muzyką o t. zw. charakterze ściśle operowym. A wszystko na koturnach, w tempie powolnym. W Poznaniu się po dobało.

Trzeba przyznać, że bogata oprawa sceniczna ściśle zestroiła się z treścią muzyczną, no i librettem. Jarocki ukazał się tu skrzyżowaniem Drabika z Wodyńskim, a Waleria Szalay-Groele dała nam próbę nie baśni, ale bzdury. Opowieść oparta na fałszywej mitologii, aż przepełniona jest rozmaitymi Bognami, Luborami, Mestwinami, Winetami i t. p Dalej Światowidy, Kupały, Dzidzile i... Peruny, dalej chramy

znicze, juraty (?) lud i kapłani. Lubor jest starym, bogatym zdunem. Na czym się dorobił — niewiadomo, gdyż był to przecież czas kurnych chat. Można śmiało powiedzieć, że w wieńcu nieudanych pomysłów, libretto jest kwiatkiem najjaskrawszym.

Reżyseria nie potrafiła wyjść poza szablon według którego całe dzieło zostało skrojone. Chciałoby się krzyczeć o gwałtowną reformę w dziedzinie teatru operowego.

Balet nie wiele miał do pokazania. Patos zabił tempo i cała masa owych „dziewic z liliami", rusałek, wodnic, rozgwiazd i wodorostów snuć się jedynie musiała po scenie. Na szczególną uwagę zasługuje taniec ośmiornicy w wykonaniu Bożenny Alesso.

Operę prowadził Bolesław Tyllic. W rolach owych Słowian ściśle (!) z okresu stu lat między VIII a IX w. wystąpili: Woliński, Kowalski, Poreda, Platówna, Mossakowski Hupertowa.

Nowowiejski to bogaty dorobek, szczególnie w dziedzinie muzyki kościelnej. Nieudana próba stworzenia opery monumentalnej, to jeszcze nie tragedia. Nie ona dała mu przecież sławę i nawet nie całość muzycznego dorobku, ale owa melodia Roty.

Można by zacząć recenzję od słów: „Popularny twórca..." i t. d., ale jej tak nie zacząłem, uważam natomiast, że w ten sposób, należało ją skończyć.

Mimo historii powstania „Legendy".

W. NARUSZ.

Z TEATRU

„GAŁĄZKA ROZMARYNU"

RÓWNO cztery lata temu byłem w teatrze „Polskim" na „Kościuszce pod Racławicami"—przypomniało mi się to odrazu, gdy teraz skolei znalazłem się tam na „Gałązce rozmarynu" Nowakowskiego.

Obie te sztuki są bowiem stanowczo tego samego rodzaju scenicznego—patriotycznego melodramatu—wodewilu. Są tu i piosenki i dowcipy i patos i łezka. Tylko, że wolę jednak starego Anczyca, choć to już może bardziej osobiste sprawy. Ale na Kościuszkę bezsprzecznie inaczej wszyscy patrzymy jak na Oleandry i Kadrową. Sama odległość czasu to sprawia. Sztuka Nowakowskiego dotyczy jeszcze spraw i rzeczy zbyt bliskich na takie *à la* Anczyc ujęcie. Anczyc bądź co bądź pisał swe Racławice w roku 1880 w sto lat bezmała po sławnej bitwie. Nowakowski w ćwierć wiecze ledwie po pamiętnym sierpniu 1914 roku. To gruba różnica.

Ale mimo to, można właśnie na tej sztuce obserwować jak pewne wydarzenia mimo wszystko stają się jednak legendą i jak pochód czasu uparcie pewne rzeczy zaciera. Sztuka jest napisana zręcznie i zgrzytów przykrych nie zawiera. To co w niej razi — razi wogóle w Nowakowskim. Owo kokieteryjne kawalarstwo od czasu do czasu skrapiane patetyczną łezką. Przypomnijmy sobie „Rubikon" i to nam wiele wytłumaczy. I w złem i w dobrem.

Nie można jednak Nowakowskiego winić o to, co jest do pewnego stopnia winą ogólną naszych czasów, a mianowicie o pewne dopasowywanie się do gustu mas; pewne świadome zordynarnienie. Dużo tego w „Gałązce rozmarynu", ale ostatecznie i akcja toczy się w okopach i ludzie w niej prości biorą udział. Wprawdzie u Anczyca, też niby kosynierzy, też dużo ludu, ale jednak styl inny. Poprostu czasy się zmieniły. Wiek XIX tak usilnie starał się wszystkich i wszystko podnosić, że sam ani się spostrzegł jak na dno samo zjechał. Przepaść czasów olbrzymia, zarówno dat obu powstań 1794—1914, jak i obu sztuk 1880—1937.

No i jeszcze trzeba autora usprawiedliwić, że sztuka jest pisana dla innej widowni. Nie dla inteligencji (choć ona dzisiaj niestety mocno zgłupiała) ale dla ludku, czy ludu co to z byle czego naśmiać się lubi i kawał dla niego nie za gruby i w patosie nie zawsze fałsz dostrzeże. Czy Nowakowski dobrze w ten właśnie ton utrafił przyznam się, że nie umiem odpowiedzieć.

Co do wykonawców sztuki, to było ich tylu, że trudno wprost te listy nazwisk wymieniać. Spisali się dobrze. I widowisko wystawiono także starannie. Ale co do dekoracji to zganić muszę tę właśnie z czwartego obrazu, na którą najwięcej klaskano. Prawda, że ślicznie zrobiono okopy i zimową noc—ale czemuż, skoro to wilja, pożółkłe liście jeszcze z drzew nie spadły? W naszym klimacie to się bądź co bądź nie zdarza. A przecież ktoś z widzów, chyba bywał na wsi i wie o tym. Ten więc koncept nie bardzo się udał dekoratorowi.

F. P.

FILM

STYLOWY: „Dziewczęta z Nowolipek", reż. Józef Lejtes.

Wartość filmu Lejtesa polega na operowaniu wymową krótkich, żwawo po sobie następujących scenek. Ich zawartość plastyczna jest zajmująca, każda nie nuży oka zbyt długiem przebywaniem na ekranie, lecz dorzuciwszy pewien rys do obrazu całości, znika, by ustąpić miejsca następnej.

Tak wygląda wysiłek reżysera, gdy ten ma ambicję, a nie liczy jedynie na aktora, by mu swym talentem, grą i rutyną wypełniał film, „a do końca jakoś się dojedzie". W podobnym ujęciu sprawy zmienia się znaczenie i rola samego aktora: trzeba mu dać pole do działania, a nie do wygrania się. Aby to było możliwe, należy mieć dobrze w szczegółach opracowany scenariusz, co u nas z reguły się zaniedbuje. Powinno się pokazywać w filmie nie ludzi operujących dialogiem i mimiką, ale człowieka, który się rusza i działa, słowem—żyje. Pierwszy raz w utworze Lejtesa, Junosza-Stępowski stworzył postać filmową, a nie teatralną, grał całą figurą, postawą, ruchem, przy ściśle wytyczonych mu przez reżysera czynnościach.

Potrafił też Lejtes owe liczne scenki, epizody, fragmenty umiejętnie ze sobą kontrastować, ściszając te, które kto inny wygrałby pełnem *forte*. Pewne zdarzenia, narzucone treścią powieści, wogóle Lejtes przemilcza, by w ten sposób spotęgować wymowę ich następstw. I tak nie pokazane są sceny pierwszego przeżycia miłosnego żadnej z dziewcząt, pominięta jest także scena morderstwa rodziców Kwiryny (któryż z naszych rodzimych reżyserów odmówiłby sobie satysfakcji pokazania trupów!) W całości są oczywiście i miejsca słabsze, mniej wyraziste i mniej ciekawe plastycznie, ale gdy się zważy, że ubóstwo wizualne (nie mówię o fotografii) jest zasadniczą wadą i najcięższym grzechem filmów krajowych, trud Lejtesa nabierze właściwej wymowy.

CAPITOL: „Znachor", reż. M. Waszyński.

„Znachor" należy podobno do najbardziej udanych powieści Mostowicza. Dzięki niej film mógł skorzystać z dobrego scenariusza, niestety, Waszyński, wyrobnik filmowy, jak zwykle spitrasił tandetkę. Dając upust swoim gustom, nie oszczędził nam widoku długiego konania kochanka Beaty, ani cierpień i krzyku człowieka operowanego bez narkozy. Obok tych „atrakcyj" mamy kilka nadto już puszczonych reżysersko scenek z dialogami, np. rozmowę rodziców narzeczonego córki Beaty.

Pozostaje z całości parę dobrych masek Junoszy-Stępowskiego w zbliżeniach.

ŚWIATOWID: „Niedorajda", reż. M. Krawicz.

Dobra porcja pomysłów, któreby starczyły na niezłą farsę, zmarnowana w rękach partaczy. I farsa mimo dosadności efektów, może być zapięta na ostatni guzik. Jej mechanizm nie ucierpi wcale na precyzyjnym opracowaniu. Staranne podanie efektu komicznego potęguje jego siłę. Autorzy filmu zdawali się tego nie rozumieć.

Fotografia znowu na poziomie klasycznego prymitywu. Aktorzy rozmawiający pod ścianą, aktorzy rozmawiający przy stole. Potem bieganie z pokoju do pokoju.

A myślałem, że juześmy z tem skończyli...

KANDYD

POKŁOSIE

„INKWIZYT"

PRZECZYTANA w tych dniach notatka w gazetach przypomniała piszącemu te słowa dość już dawne zdarzenie. W końcu 1915 i na początku 1916 roku przemierzyłem, jako delegat jednej z polskich organizacji emigracyjnych, parokrotnie wielkie przestrzenie północno-wschodniej Rosji. Pociągi wlokły się tam z nużącą powolnością, ale nudę można było nieraz wynagrodzić interesującymi spostrzeżeniami nad tamtejszymi znacznie prymitywniejszymi ludźmi, ich sposobem myślenia i reagowania na niezwykłe przecież zdarzenia toczącej się wielkiej wojny.

Rozmowy w wagonie miały wojnę za jedyny prawie temat, a ożywiły się znacznie jeśli wśród podróżnych znalazł się, co nie było rzadkością, jakiś oficer lub urzędnik, jadący z placu boju na urlop, lub jako rekonwalescent w rodzinne strony. Ze zwykłą u Rosjan gadatliwością opowiadali oni chętnie i zwierzali się z wrażeń i wtedy widać było, jak nieraz groteskowo odbija się życie więcej cywilizowanego kraju w umyśle dzikusa, nie przygotowanego do należytej oceny takiej cywilizacji. Opowiadania o stosunkach w Galicji były nieraz pełne mimowolnego komizmu, coś rzeczywiście w rodzaju powieści „Nasi zagranicą", mimo że opowiadający należeli do osób z wykształceniem uniwersyteckim.

Otóż gdzieś między Wołogdą i Kostromą wysłuchałem opowiadania młodego adwokata, który jako prawnik powołany był do służby w sądownictwie polowym, o jego wrażeniach z Galicji. Urzędował jakiś czas we Lwowie i rozprawiał wiele o tamtejszej „*tiurmie Batoria*". Sąd i więzienie śledcze we Lwowie znajduje się, jak wiadomo, na ulicy Batorego. Moskale niewiadomo skąd wzięli, że więzienie to pochodzi z czasów Batorego, a ponieważ ten zdobywca Pskowa pozostawił u nich pamięć wielkiej potęgi, więc imię jego wymawiano z akcentem zbliżonym do wspomnień o np. Iwanie Groźnym, boć prymitywny moskal nie odróżniał potęgi od okrucieństwa. To też słowa „*tiurma Batoria*" robiły wrażenie czegoś bardzo groźnego.

Prawnik ów opowiadając o swym urzędowaniu w tym gmachu oświadczył, że wpadł na wyraźne ślady tego, iż w Galicji bezpośrednio przed przyjściem Rosjan istniała ni mniej, ni więcej — tylko „Inkwizycja". Słowo to razem z dźwiękiem *tiurmy Batoria*, zrobiło na słuchaczach wielkie wrażenie.

Opowiadający robił wrażenia wierzącego w to co mówi, więc zapytałem go, jakie to dowody znalazł na istnienie u nas średniowiecznej inkwizycji?

Odpowiedział, że dowody niezbite, gdyż znalazł mnóstwo aktów i papierów sądowych z wybitą na nich czerwonym tuszem pieczęcią: „inkwizyt". Więc czegóż jeszcze trzeba, chyba wiadomości o tem, co się działo z ludźmi, których akta zaopatrzono w taką złowrogą pieczątkę....

Zacząłem tłumaczyć długo i szeroko, że „germin „inkwizyt" jest wzięty z łaciny i oznacza w galicyjskim języku sądowym człowieka pozostającego pod aresztem śledczym, że pieczątka z tym terminem wybijana jest na wszystkich aktach jakiejś sprawy, o ile w tej sprawie jest jakiś człowiek aresztowany, że nie ma to bynajmniej na celu poddania aresztowanego jakimś średniowiecznym torturom, lecz wprost przeciwnie ma cel wybitnie humanitarny, mianowicie akty z taką pieczątką mają byc załatwiane przed wszystkimi innymi, żeby śledztwo posuwało się możliwie szybko naprzód i żeby aresztant, który ostatecznie może się okazać niewinnym, nie siedział niepotrzebnie długo w więzieniu.

Słuchano mnie uprzejmie, ale widać było, że nie bardzo dowierzają moim wyjaśnieniom. Prawnik nie łatwo się oczywiście przyznawał do zawstydzającego nieuctwa w sprawach proceduralnych, inni zaś, laicy, nie chcieli się rozstawać z romantycznym dreszczem, wywołanym „*tiurmą Batoria*" i „*i średniewiekowoj inkwizycjej*".

Przypomniała mi się cała ta historia z owym „inkwizytem" i przedwojenną pieczołowitością o jego losy, gdym przeczytał wiadomość, że ponowny proces inż. Doboszyńskiego, który miał się odbyć dnia 6 grudnia, będzie znów odłożony. Na jego aktach powinien przecież być wybity wszędzie ten ostrzegawczy i przyspieszający stempel „inkwizyt", bo tu już nawet jeden sąd orzekł, że oskarżony na karę nie zasługuje, więc pozbawienie go wolności powinno być co najmniej ograniczone do minimum. Czy w procedurze polskiej nie istnieje taki, jak był przed wojną w Galicji, przepis o „inkwizytach"?

Nie jestem prawnikiem, więc nie wiem. Wiem natomiast, że miał zupełną rację ten dygnitarz, który mówił o usprawnieniu wymiaru sprawiedliwości jako środku zapobiegającym anarchizowaniu społeczeństwa. Przeciąganie spraw, które dawno do osądzenia dojrzały, nie może być chyba nazwane usprawnianiem wymiaru, a tym samym nie może pomnażać powagi sądów...

ARGUS

NA MARGINESIE

Boyowi-Żeleńskiemu zabawnie powinęła się noga na paszkwilu. Żeby skompromitować Grzymałę - Siedleckiego w oczach żydów, wmawia mu w „Kurierze Porannym", że pod pretekstem Ormian ośmiesza w swojej sztuce żydów.

— Dla czego?

— Bo zgromadził tyle ujemnych rysów, że nie sposób, aby jakakolwiek rasa mogła tak wyglądać — jedni tylko żydzi temu wzorowi odpowiadają.

Ciekawa rzecz, jak przyjmą żydzi ten komplement Boya. Grzymały nie ugodził (jedyna w sztuce postać dodatnia to właśnie żyd), ale żydom dogodził.

*

Szczęśliwie się złożyło, że w Sanacji były dwa B, bo teraz kiedy trzeba wybierać między żydostwem i Polską, jedno B idzie za popędem serca do żydów, drugie B na prawo.

O, i macie konsolidację!

*

— Prawdziwi „niepodległościowcy" mogą należeć tylko do „fołksfrontu".

— A z kimże to walczyć będziecie?
— Z narodem polskim.
— O co?
— O prawo służenia żydom.

NAJDOSKONALSZE NA ŚWIECIE MYDŁO DO GOLENIA



MYDŁO KREM z MOTYLEM

Mag. W. KASPRZYCKIEGO

WARSZAWA UL. PIUSA XI 30

Książka, która poszerzyła Ojczyznę

MELCHIOR WAŃKOWICZ

NA TROPACH SMĘTKA

5-te wydanie w ciągu niespełna roku.

Instytut Wydawniczy „BIBLIOTEKA POLSKA" S. A.
Warszawa, Nowy Świat 23/25.

Nowa książka

ROMANA RYBARSKIEGO

PROGRAM GOSPODARCZY

Cena zł. 4

Do nabycia w Administracji „Myśli Narodowej" (skład główny) i we wszystkich księgarniach.

Do nabycia w księgarniach

NAJNOWSZA KSIĄŻKA

W KRAJU CZARNYCH KOSZUL

napisana przez

STEFANA NIEBUDKA

z przedmową

K. M. MORAWSKIEGO

Cena 2 zł.

Już opuściła prasę najnowsza książka

prof. R. RYBARSKIEGO

p. t.

Siła i Prawo

Cena książki 6 zł., dla prenumeratorów „Myśli Narodowej" 5 zł., z przesyłką 50 gr. drożej.

Wysyłkę uskutecznia po otrzymaniu należności administracja „Myśli Narodowej" w Warszawie, al. Jerozolimskie 17.

Pieniądze przesyłać można pocztą za pośrednictwem przekazów rozrachunkowych.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.